

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny



Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

WEJHEROWO 2016

Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

XI Wejherowski Konkurs Literacki

POWIEW WENY

pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2016

W y d a w c a:

**Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie**

Opracowanie, skład komputerowy,
korekta, projekt okładki:
Henryk Połchowski

Druk: MIDI-DRUK Wejherowo
ISBN 978-83-940674-0-3

Wejherowo 2016

Drodzy Czytelnicy

W ubiegłym roku obchodziliśmy jubileusz dziesiątej edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny”. W tym roku swój jubileusz - siedemdziesięciolecia działalności - obchodzi instytucja, która od samego początku była organizatorem tego, uznanego w całym województwie konkursu - Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego. Nic więc dziwnego, że to ksiąznica stała się głównym motywem, który zainspirował tegorocznych uczestników do napisania utworów poetyckich i prozatorskich. Motto konkursu – cytata z powieści „Dom z papieru” Carlosa Marii Domíngueza, który brzmiał: *“Biblioteka jest bramą w czasie”* - stał się okazją do zlokalizowania akcji utworów wśród bibliotecznych regałów, czy też poszukiwaań poetyckich metafor, nawiązujących do książek i czytelnictwa.

Choć było to zadanie trudne, trzeba przyznać, że lektura prac stawiających bibliotekę i szerzej - czytelnictwo - w jasnym świetle zainteresowań literackich - była prawdziwą przyjemnością. Z radością czytaliśmy o doniosłej roli ksiąznicy w otaczającym bohaterów, czy też podmiot liryczny, świecie i o tym, w jaki sposób ona może stać się bramą w czasie.

Jak co roku, nie zabrakło tematów trudnych i ważnych w wymiarze społecznym. Utwory dotyczące ich, stały się istotnym głosem twórców w rozważaniach dotyczących kondycji moralnej człowieka we współczesnym świecie.

Ciesz się nas niesłabnące zainteresowaniem konkursem „Powiew Weny” wśród twórców z całego województwa. Do tegorocznego konkursu napłynęły 44 prace, w tym 16 - to prace w kategorii młodzieżowej, w której nie obowiązywał podział gatunkowy. W kategorii dorosłych 16 prac - to utwory prozatorskie, 12 - zestawy poezji. Dla laureatów w grupie uczestników w wieku powyżej 20 lat przewidziano nagrody finansowe. Są one zróżnicowane nie tylko ze względu na osiągnięte

miejsce, ale i decyzją jury - odzwierciedlają punktację przydzieloną poszczególnym uczestnikom.

Prace konkursowe oceniało jury w składzie : przewodnicząca Komisji Konkursowej – Danuta Balcerowicz (dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie), Honorowy Członek Komisji Konkursowej – Bogdan Tokłowicz (przewodniczący Rady Miasta Wejherowa), dr Jolanta Laskowska (adiunkt w Katedrze Polonistyki Stosowanej Uniwersytetu Gdańskiego), Rafał Dębski (pisarz fantasty, science fiction, powieści historycznych, wojennych, sensacyjnych oraz kryminalnych, psycholog z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 w Wejherowie), Ewelina Magdziarczyk-Plebanek (teatrológ, kulturoznawca, bibliotekarz). Sekretarzem konkursu był Krzysztof Powałka – pracownik biblioteki.

Konkurs potwierdził, jak co roku, że w naszym regionie jest wielu uzdolnionych autorów, dla których udział w Wejherowskim Konkursie Literackim “Powiew Weny” jest wyjątkową okazją do sprawdzenia swoich możliwości i zaprezentowania swojej twórczości na szerszym forum. Tym bardziej cieszę się, że, tradycyjnie, powstała publikacja pokonkursowa, złożona z prac laureatów, która będzie trwałym i namacalnym rezultatem konkursu, pozwalającą uwiecznić dokonania nagrodzonych twórców.

Dziękuję wszystkim uczestnikom za udział w konkursie. Organizatorom dziękuję za kolejny rok owocnej pracy. Laureatom serdecznie gratuluję i życzę dalszych sukcesów. Wszystkich zapraszam do kolejnej, dwunastej już, edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego “Powiew Weny”, która odbędzie się w roku przyszłym.

Bogdan Tokłowicz

Przewodniczący Rady Miasta Wejherowa

Honorowy Członek Komisji Konkursowej

WYNIKI

XI edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny“ z dnia 19 października 2016 roku.

W kategorii - Dorośli

PROZA

- I miejsce: za opow. pt. „Za orzechowymi drzwiami”
- **Krzysztof Szkurlatowski** z Wejherowa, godło „Żagiel złudzeń”;
II miejsce: za opowiadanie pt. „Zapach lawendy”;
- **Barbara Malawska** z Wejherowa, godło „Liść”;
III miejsce: za opowiadanie pt. „Odtajniony”
- **Stanisław Szulist** z Sobowidza, godło „Jasnowidz”;
Wyróżnienie: za opowiadanie pt. „Jenny”
- **Henryk Połchowski** z Wejherowa, godło „Kolekcjoner”;
Wyróżnienie: za słuchowisko pt. „Ławka”
- **Jerzy Piotr Kozerski** ze Strzeczca, godło „Ławka”.

POEZJA

- I miejsce: za wiersz pt. „Tryptyk o całopaleniu”
- **Bogusława Zubrzycka** z Wejherowa, godło „Skepsis”;
II miejsce: za cykl wierszy m.in. „Obrazoburczy Obraz Matki”
- **Tomasz Albecki** z Wejherowa, godło „Ostrożnie szkło”;
III miejsce: za wiersze pt. „Pasja”, „Brama”, „Zaczarowany ogród”
- **Bogumiła Mielewczyk** z Bolszewa, godło „Yumi”;
Wyróżnienie: za wiersze pt. „Pean Jubileuszowy”, „Dobra książka”,
„Pieśń od Norewida”, - **Edyta Wysocka** z Miastka, godło „Lotos”.

W kategorii - Młodzież

- I miejsce: za opowiadanie pt. „Upiór”
- **Agata Walkusz** z Wejherowa, godło „Upiór”;
II miejsce: za opowiadanie bez tytułu
- **Sara Bojanowska** z Udorpi k. Bytowa, godło „Purple Night”;
III miejsce: za opow. pt. „Biblioteka jest bramą w czasie”
- **Natalia Rekowska** z Malborka, godło „Tala”.

Za orzechowymi drzwiami

Przeleciałem pewnie ze dwa metry nim uderzyłem o drzwi masywnej szafy stojącej w kącie pokoju. Odbiłem się od nich i wyśladowałem na dywanie. Leżałem na nim cichutko. Nie płakałem, nie kwiliłem, nie wydawałem jęków. Straciłem przytomność. Nie pamiętam tego wszystkiego. Wy pamiętacie cokolwiek z okresu gdy mieliście dwa lata?

Dowiedziałem się o tym od babci po latach. Babcia nie widziała jak to się stało. Kiedy przybiegła z kuchni przestraszona głuchym łomotem dobiegającym z pokoju, ja już leżałem, a ojciec stał z opuszczonymi ramionami w przeciwległym rogu pokoju i ciężko dyszał. Potem wybiegł bez słowa i nie wracał przez dwa dni.

Być może to, że uderzyłem nie w ceglaną ścianę, lecz w elastyczne, sprężynujące drzwi szafy, uratowało mi życie. Kilka siniaków na ramionach, stłuczenie biodra i niewielki guz na głowie – takie ślady zostały przez pewien czas na moim ciele. Przestałem też mówić, choć wcześniej miałem ponoć zadatki na paplę. Zamilkłem na dwa lata. Nikt już nie musiał wysłuchiwać setek moich sepleniących pytań. Nikt już nie musiał poprawiać ciągle mojego „j” wymawianego zamiast „r”. Skończył się potok wszystkich tych „gjuszek”, „tjawy”, „jycerzy”, „jowejów”, „fotogjafów”, „Jajków”, „Majków” i „Dojotek”.

Do lekarza? Ale jakiego? Po co właściwie? Siniaki przecież szybko zżółkły, zbladły, zniknęły. A mało to dzieci późno zaczyna mówić? Zwłaszcza chłopaki. Oni zwykle są mało gadatliwi. Przyjdzie jego czas, to zaczniesz mówić – tak powiadała ludowa mądrość powszechnie znana w naszej wsi. Cała reszta została rodzinną tajemnicą.

A prawdziwe wspomnienia z dzieciństwa, takie zapamiętane, a nie opowiedziane? Przez ostatnie kilkadziesiąt lat wracały do mnie rzadko i składały się zwykle z powtarzających się w kółko tych samych rwących się scenek -obrazów. Niewiele mam tych wspomnień, wszystkie są za to bogate w szczegóły. Niektóre zbyt bogate.

Zamykam oczy. Leci mi ślinka, bo czuję intensywny zapach smażonego boczku i cebuli. Słyszę ich skwierczenie na patelni. I jeszcze metaliczny szcęk fajerek odsuwanych metalowym haczykiem – pewnie trzeba dorzucić dREW do pieca. Ciepły kobiecy głos nucący piosenkę o ułanach stukających do okienka. Patrzę jak pochyła się nad stolnicą i zbiera z niej pierogi. Już wiem, co będzie dziś i jutro na obiad – moje ulubione ruskie. Układa usta w trąbkę i usiłuje zdmuchnąć z twarzy niesforny kosmyk, który wymknął spod wzorzystej chusteczki. Nie udaje się, więc odkłada na chwilę pierogi i dłonią odsuwa łaskoczące włosy. Przy okazji zostawia na policzku ślad mącznego pyłu. Znow odwraca się do stolnicy. Jej oczy błyszczą z zadowolenia – pierogi są takie jak trzeba. Kształtne i równiutkie, a ciasto wyszło delikatne, miękkie i cienkie. Nadzienie też jest smakowite, nie pożałowała do niego twarogu. Przez chwilę jakby się zamyśliła. Może przypomniała sobie, że zanim poda obiad, musi jeszcze wyjąć ze studni chłodzącą się tam maślanekę. Wychodząc na podwórze, nalewa mleka do miski stojącej w sieni. Biała ciecz głośno ciurka i wypełnia po brzegi gliniane naczynie. To dla kotów. Babcia je lubi.

Zamykam oczy. O świcie, kiedy cały dom jeszcze jest pogrążony we śnie, słyszę jak skrzypią deski pod bosymi stopami. Dobiaża mnie plusk wody rozbrzdgającej się o ścianki blaszanej miski. Za chwilę zaś słyszę ślizganie się ostrza brzytwy po skórzanym pasku, a zaraz potem skrobanie metalu szorstki męski zarost. Chwila ciszy i nóż odkrawa kromkę chleba. Już jestem na nogach i cichutko idę w stronę odgłosów. W kuchni widzę męskie plecy i zarzucaną na nie białą koszulę. Wiem co to oznacza – właściciel koszuli będzie szedł do pasieki. Zawsze ją wkłada, gdy odwiedza swoje pszczoły. Powiedział mi kiedyś, że białą koszulę wkłada się, gdy robi się ważne rzeczy. A pszczoły są ważne. Widzę, jak stojąc już sieni przegarnia dłonią siwe włosy i zdejmuje z wieszaka czarny берет. Otwiera drzwi na podwórze, przysiadła na kamiennym progu. Niespiesznie pogryza grubą pajdę chleba posmarowaną żółtym masłem. W końcu słyszy szmer za plecami i odwraca się. Jego twarz rozjaśnia szeroki uśmiech. Klepiąc kilka razy próg, daje mi znak bym z nim usiadł. Przysiadam obok przytulając się do jego boku. Dostaję kawałek pachnącej i chrupiącej skórki od chleba. Obejmuje mnie silne ramię, a palce gmerają w mojej czuprynie, czule ją mierzwiąc.

– Pójdiesz z dziadkiem do pasieki, Groszku?

Zamykam oczy. Upalne lato i słońce prażące niemiłosiernie. W cieniu budy schował się kundel. Ktoś ze sporą wadą wzroku mógłby go nawet uznać za rasowego wilczura. Gabaryty się zgadzają, umaszczenie z grubsza też. Gdyby jeszcze te uszy nie były tak niezdarnie klapnięte. Leży bezwładnie i szybko dyszy. Z pyska wysunął mu się na ziemię szeroki różowy jęzor. Latają dookoła niego chmary much, usiłując czasem na nim przysiąść. Pies niemal nie reaguje. Gapię się na tę scenę siedząc na płotku tworzącym psi wybieg, bo inaczej niż w innych gospodarstwach, nasz pies nie jest przywiązany do budy łańcuchem. Patrzę i niemal czuję na swojej skórze drażniący dotyk muszych łapek. Żal mi psa, więc chwytam jakiś lebiodowy badyl i włączę z nim do kojca. Kucam przy zwierzaku i zaczynam odpędzać muchy. Po kilku machnięciach pies zaczyna się denerwować. Warczy ostrzegawczo, raz i drugi. Kiedy nie przestaję wymachiwać lebiodą nad jego głową gryzie mnie w ramię. Raz. Niezbyt głęboko, ale dość by połała się krew, by zostały mi na całe życie dwie blizny. Słyszę nagle swój piskliwy głos i te słowa wypowiedane przez łzy – Piesku, piesku, przepraszam! Wreszcie mówię, po dwóch latach milczenia. Ktoś krzyczy, że zwierzę trzeba uspić, ale dziadek nie pozwala, choć pies nie jest szczepiony. Sprawa jakoś się rozchodzi, a ja, kiedy nikt nie patrzy, zakradam się do kojca i tulę do psa. Jego zmierzwiona sierść pachnie podwórzowym pyłem i starością. A potem, kilka lat później, słyszę donośne psie wycie dobiegające z naszego obejścia przez całą noc po śmierci dziadka. Nazajutrz dotykam wilgotnej ziemi w dziurze wygrzebanej pod ogrodzeniem i zbieram kępki sierści, które zostały na sztachetach. Uciekł. Przez dwa tygodnie błąkam się po okolicznych lasach wykrzykując: – Nero, Nero!

Zamykam oczy. Z zewnątrz docierają dźwięki jak ze snu, przytłumione i łagodne. Nawet gardłowe krzyki przybierają tu formę wytłumionego, cicho dudniącego echa, bezkształtnego pogłosu. Tu przemieniają się w monotonne szemranie wszystkie te gwałtowne “kurwy” każdego dnia zawieszane w powietrzu przez ojca. Nikną zwarte ciągi innych słów ojca, od których cierpnie mi skóra. Tracą bezpowrotnie swój wykrzyknikowy charakter. Przestają być groźne. Rozpływają się. Rozbija je w magiczny sposób cienka bariera z orzechowego drewna oddzielająca mnie od świata. Orzechowy filtr, przez który muszą się przedzierać złe dźwięki i emocje, rozprasza je. Resztę załatwia wyściółka z bawełnianych płaszczy, wyleniałego lisiego futerka, dzianinowych chust, lnianych koszul. Mięknie między nimi wszystko co ostre. Odbijając się od powierzchni ubrań, przenikając przez nie, traci całą swoją stanowczość. Cicho jest w starej szafie.

Zamykam oczy. Łatwo określam unoszące się dookoła aromaty. Może to przez panujący półmrok, który wyostrza zmysły. Pachnie ładnie. To nie jest kwaśny męski pot i oddech nasycony oparami alkoholu. Nie czuję smrodu wymiocin i dymu tanich papierosów. Tu jest inaczej. Na pierwszy plan wybija się subtelna woń lawendy. Tak musi pachnieć niebo.

Babcia wierzy w antymolową moc lawendy i każdego roku wiesza tu dwa woreczki wysuszonych kwiatów. Widać jej wiara nie jest bezpodstawna, skoro w naszych ubraniach nigdy nie widziałem dziurek wygryzionych przez mole. Przez lawendę przebija zapach aromatyzowanego tytoniu fajkowego. Dziadek często sięga po fajkę nim właśnie nabitą. Kieszeń jednego z płaszczy skrywa kapciuch z zapasem tego tytoniu. Pachnie kamforą. Mniej intensywny, lecz też wyraźnie wyczuwalny, jest zapach skóry. Wydzielają go buty, paski i rękawiczki. Nie ma ich za wiele, ale widać wystarczy by dodać wnętrzu szafy własną nutę. Jest coś jeszcze. Najslabiej wyczuwalny, ale możliwy do wyodrębnienia zapach. To pachną książki, kilkudziesiąt sztuk stojących w równym szeregu na górnej półce szafy. Dziela tę niewielką przestrzeń z kilkoma czapkami, dziadkową fedorą, babciną torebką, rękawiczkami. Trafiły tu po śmierci babci, kiedy dziadek, który jako jedyny w naszym domu interesował się książkami, stracił ochotę do czegokolwiek. Książek jest niewiele, bo w naszym domu pieniędzy nigdy nie było w nadmiarze. Dzięki książkom dziadka nauczyłem się czytać zanim poszedłem do szkoły i zanim umarł dziadek.

Pamiętacie jak pachną książki? Ile razy w życiu przykładaliście twarz do książki przyniesionej właśnie z księgarni? Ile razy zastanawialiście nad tym, czy to papier tak pachnie, czy może farba drukarska, a może klej introligatorski? Zapach złożony, ale zarazem tak charakterystyczny, że jeśli ktoś go już pozna, to później rozpoznaje bez trudu. Nawet w starej szafie z ubraniami.

Zamykam oczy. Widzę dwa snopy światła wpadające do wnętrza. Jeden wślizguje się przez otwór zamka. Drugi dostaje się przez dziurę po sęku. Ten drugi jest szerszy i jaśniejszy, bowiem otwór po sęku ma spory rozmiar, a w dodatku znajduje się na wprost dużego okna w pokoju. Panuje bezpieczny półmrok, ale światła jest dość. Nie potrzebuję go do oglądania świata. Nie chcę oglądać tego co czai się bezpośrednio za drzwiami mojego orzechowego azylu. Wolę opowieści o świecie skrywane między kartonowymi okładkami książek. Światła wystarcza by je czytać. A kiedy po nie sięgam,

Chronos nagle zasypia. Czas się zatrzymuje, a ja przepadam na długie godziny między słowami, rozpływam się między rozdziałami. Przestrzeń kurczy się nieoczekiwanie i oto bliżej mam do północnoamerykańskiej prerii, niż do naszego podwórka. Miniaturowa biblioteczka dziadka skryta na półce orzechowej szafy, przemienia mnie w kapitana Nemo, mogę schronić się w nieznanym nikomu toniach. Uciec jak Dedal do nieba, między chmury. Nikt mnie tu nigdy nie szuka. Nikt mnie tu nie znajduje. Raj w starej szafie z książkami.

Zamykam oczy. Natychmiast rozpoznaję ten głos. Czy to jeszcze był lekko uniesiony ton, czy może już przesywający krzyk? Czuję palący ból. Czy to był jeszcze klaps, czy już uderzenie kablem od żelazka? Jaka to różnica dla przerażonego pięcioletka? To nie jest wspomnienie do którego chętnie wracam. Zwykle pojawia się samo, zupełnie nieproszone. To wspomnienie dni, w których zataczający się tata wraca wieczorem do domu. On jest mocno pijany, a ja jeszcze nie odkryłem schronienia w orzechowej szafie. Dostaję wtedy, można by powiedzieć, z własnej winy. Sam przecież nawijam się pod rękę. Nie dostałbym, gdybym się nie rzucał się w oczy. Wystarczyłoby nie ruszać się z łóżka, schować głowę pod pierzyną i cichutko oddychać. Trudniej, gdy tata wraca lekko niedopity. Wtedy szuka winnych swojego stanu, swojego niezadowolenia z tego stanu. Wystarczy jedno spojrzenie w jego kierunku, jedno skrzygnięcie sprężyn w łóżku. A czasem i tego nie trzeba. Sypią się ciosy i potok bełkotliwych bluzgów. Dostaję ją, dostaje też matka. Ona rzadziej, bo umie głośno krzyczeć, a to jakby studzi wojownicze zapędy taty. Ja przyjmuję porcje razów płacząc jedynie, a to nie robi wrażenia. Na ciele pojawiają się pręgi, które z czasem sinieją. Mijają dwa, trzy dni – rytuał się powtarza. Znow widzę nad sobą czerwoną nieogoloną twarz i ciężkie łapsko w rozmachu. Tata wrócił.

Zamykam oczy. Ma dwanaście dużych kart z kolorowymi fotografiami, a na każdej z nich piękny pejzaż. Wspaniale szeleści papier. Właśnie się dowiedziałem, czym jest kalendarz. I już wiem, że w naszym domu najłatwiejsze są pierwsze dni miesiąca. Wtedy tata jest świeżo po wypłacie. Kiedy ma pieniądze wraca bardzo późno. Czas po pracy spędza z kolegami w knajpie. Pieniądzy jest dość, by mógł się upić do nieprzytomności. To oznacza dla nas spokojną noc. Nie zawsze. Budzi się w środku nocy i toczy dookoła nieprzytomnym wzrokiem, coś bełkocze. Dostaje od matki butelkę wódki. Opróżnia ją do połowy i zasypia tuląc flaszkę w objęciach. Nazajutrz sytuacja się powtarza. Matka nie ma dla

niego wódki. Dostaje więc w twarz. Matka płacze, a ojciec zbliża się do mojego łóżka i sięga po pas. Mocno zaciskam powieki. Ciemno. Kilka godzin później świta. Koguty już piał, trzeba szybko wstać, by przygotować się do szkoły. Jest końcówka września, to oznacza, że pieniądze z wypłaty się skończyły. Ojciec zdany na hojność kolegów od kieliszka wraca do domu wcześniej. Jest zirytowany tym, że inni zarobili więcej, albo że mądrzej wydawali pieniądze. Jest zirytowany tym, że nie mógł w pełni zaspokoić pragnienia. Jest zirytowany koniecznością powrotu do głędzącej wciąż żony i bachora. Jest jak rozjuszony tygrys w klatce. Miota się i ryczy. A potem zostawia na nas krwawe ślady. Wiem, co będzie się działo przez najbliższe dni. Nie muszę już patrzeć w kalendarz. Zamykam oczy. Czuję zapach mleka, rumianku i herbatki koperkowej. Ma brązowe oczy i gładką skórę. Szczęrzy się do mnie tym swoim śmiesznym bezzębnym uśmiechem. Jest ładna i grzeczna. Lubię ją, bo niewiele płacze i nie ściąga na siebie uwagi. Wożę ją wózkiem po podwórku i ogrodzie. Wtedy jest dobrze, wtedy nie jesteśmy w domu. Szybko rośnie i zaczyna chodzić. Przewraca różne rzeczy, coś rozlewa, coś tłucze. Z każdym miesiącem coraz mniej jest córeczką tatusia, a coraz bardziej bachorem. W zapłakanych oczach trzylatki zobaczyłem jak bardzo zaskoczyło ją to pierwsze uderzenie w twarz otwartą dłonią. Biegniemy trzymając się za ręce. Prowadzę ją do starej szafy. Pierwszy raz jesteśmy tu razem. Niestety nie ostatni. Kiedyś będzie tu wracać sama. Też pokocha Verne'a i Maya. A na razie przytulam ją mocno – pachnie strachem. Sięgam wysoko nad głowę po jakąś książkę. Jakąkolwiek. Zaczynam czytać półgłosem i czuję, że przestaje łkać. Już się nie trzęsie, już nie dygocze. Moja siostra Zosia.

Zamykam oczy. Nie rozpoznaję głosu w telefonie. Nikt nigdy nie dzwonił do mnie do internatu. Stoję na ciemnym korytarzu ściskając beżową słuchawkę z ebonitu. Miga uszkodzona świetlówka, a sołtys wykrzykuje mi coś do ucha. Półtoragodzinna podróż autobusem. Silnik zielonego jelicza hałasuje okropnie i wpuszcza do środka spaliny. Boli mnie głowa, czuję mdłości. Stojąc nad spalonymi zgliszczami naszego domu wymiotuję. Ktoś mówi, że od papierosa zapaliło się w nocy łóżko. Ktoś poklepuje mnie po plecach. Gdzieś mnie ciągną, sadzają za stołem i dają coś do picia.

– Ojciec i matka w szpitalu..., zdążyli uciec..., poparzeni..., będzie dobrze..., tylko siostra..., wiesz ona..., ją w tej szafie..., strażacy... Jakieś dziecko chwyta moją dłoń, ściąga mnie w dół, a kiedy nasze oczy są już na jednym poziomie mówi: – Zosia jest w niebie, wiesz?

Krzysztof Szkulatowski

Zapach lawendy...

Wtedy nie wiedzieli, że zdołają życiu wyrwać jeszcze kilka chwil. Minęli się w bramie biblioteki. Starsza pani i ekscentryczny staruszek. Oboje w sędziwym wieku, piękni i wolni. Kobieta w szarym palcie wychodziła z biblioteki dziwnie wzruszona. Znała to miejsce sprzed lat. Zapach lawendy, który roztaczał się wokół jej osoby, zwrócił uwagę starszego pana. Mężczyzna przychodził do biblioteki regularnie. Poruszał się bardzo ostrożnie, podpierając laską. Był niewysokiego wzrostu, miał nieco zgarbioną sylwetkę, dumnie uniesioną głowę i piękne, łagodne, bladobłękitne oczy. Towarzyszył mu labrador, który nie odstępował go na krok. Na widok starszej pani zamierdał ogonem i spojrzał w jej modre oczy. Staruszkowie na pożegnanie uśmiechnęli się do siebie i brama do biblioteki zatrzaskała się za nimi.

Antoni przychodził tutaj w każdy piątek i zawsze wypożyczał kilka książek. Nikt nie pytał, po co mu ich tyle. Cicha biblioteki zagłuszała wszelkie wątpliwości. Staruszek chodził wśród półek, dotykając drewnianych krawędzi i zakurzonych książek. Wyjmował je i odkładał z powrotem. Najbardziej lubił te, których nikt nie czytał, nie dotykał, nie naruszał życia ich bohaterów. Te właśnie wybierał, bo chciał mieć pewność, że tylko on będzie miał klucz do ich świata. Uwielbiał też zapach książek i ciszę biblioteki. Z miłością i dziwną tkliwością głaskał okładki i stronicę książek. Nieistotne były tytuły, które przecież zdaniem niejednego autora wiele mówią o jego dziele. Dla Antoniego były zupełnie nieistotne. Nieważny był też rodzaj czy gatunek. Antoni zabierał do domu powieści, opowiadania, dramaty i poezję.

Staruszek znał wszystkie bibliotekarki, ale najbardziej lubił panią Ludmiłę, bo o nic nie pytała. Miała siwe włosy upięte w niski kok i nosiła stare binokle. I choć była staroświecka, wydawała mu się bliższa niż pozostałe pracownice biblioteki. Ponadto, podobnie jak on, zanurzona była w świecie swojego smutku. Jej blada twarz pokryta pajęczyną drobniotkich zmarszczek była niezwykle przyjazna. O jej życzliwości Antoni mógł się przekonać nieraz, w jej głosie

bowiem słyszał tę niekontrolowaną empatię, o którą w świecie coraz trudniej. Kiedy przychodził do biblioteki, pani Ludmiła zapisywała w karcie sygnaturę wybranych przez niego książek, podnosiła głowę znad pudełka z kartonikami i pytała:

- To wszystko, Panie Antoni?

I w zasadzie, nie czekając na odpowiedź, dodawała:

- W takim razie do widzenia..., do zobaczenia za tydzień.

Nie wiedzieć czemu, czuła więź ze starcem, jakby był członkiem jej rodziny, zatem nadmierne uprzejmości były zupełnie zbędne. A on nie czując jej wzroku, przekonywał się o tym, że nic mu nie grozi. Był bezpieczny w swym odosobnieniu. Nie musiał niczego tłumaczyć, wyjaśniać... Wybierał taki właśnie rodzaj relacji z ludźmi, oparty na kurtuazyjnej konieczności bycia uprzejmym i towarzyskim. I taka była jego znajomość z panią Ludmiłą, a jednocześnie ich więź należała do wyjątkowych. Lata wizyt w bibliotece utwierdziły go w przekonaniu, że nawet stukanie jego laski i pies siedzący w rogu biblioteki nie irytowały jej, nie przeszkadzały, nie intrygowały.

Zwykle kilka dni zajmowało Antoniemu zdobycie świata wypożyczonych książek. Nie spiesząc się, przewracał kolejne kartki, łamał zasady rzeczywistości, przechodził przez światy, budował tożsamość bohaterów, ich osobowość i duszę. Zaczynał poznawać kolejne postaci, nie krusząc przy tym ich konstrukcji. Z przedziwną delikatnością, właściwą tylko starcom i dzieciom, wchodził do przestrzeni świętej, subtelnej, metaforycznej. Na kilka godzin stawał się częścią wymyślnego życia, w gruncie rzeczy go nie znał, a mimo to był mu bliższy od tego, w którym musiał funkcjonować na co dzień. Mieszkał w starej kamienicy odziedziczonej po dziadku. Kiedyś wypełniały ją głosy bliskich, śmiech dzieci, liczne kroki, muzyka, życie..., dziś słyhać było tylko ciszę i łagodny smutek. Rzadko bywali tutaj goście. Do nielicznych należeli listonosz, który przynosił emeryturę, oraz pan Józef – stary sąsiad raz na jakiś czas zajmujący się ogrodem. Antoni spacerował wśród starych pnączy winorośli i kwitnącej późnym latem lawendy, z której słychać jego ogród, a której zapach przypominał mu najpiękniejsze chwile jego życia. Hodował ją od wczesnej młodości i cieszył się jej zapachem. W swoim ogrodzie szukał ukojenia, wspomnień i nienarzucającego się towarzystwa ptaków, które licznie zamieszkiwały korony drzew. Czekał na kogoś..., o kim śnił i marzył przez lata spędzone w swojej samotni. Nie odstępował go na krok Filozof, pies, którego podarowali mu dawno temu dobrzy ludzie. Filozof? - bo nie robił hałasu

i z niebywałą cierpliwością krok po kroku zdobywał miłość Antoniego. Wzruszał właściciela wrażliwością na gesty, ruchy, szelest powietrza, zdobył jego serce tym pieskim spojrzeniem, które staruszek nieustannie czuł na sobie, nawet w nocy, kiedy sięgał po szklanę wody.

Na ławkę wśród powojników Antoni zabierał ze sobą jedną z książek, którą znalazł w bibliotece na Starym Mieście. Siadał cichutko i czekał, aż pisarz otworzy przed nim bramy zaczarowanej przestrzeni. Kochał świat rycerzy, którzy toczyli swe boje u boku dzielnych królów. Jednocząc się w imię honoru, miłości do ojczyzny i Boga, pokonywali wroga, który podstępem chciał odebrać im wszystko, co kochali. Przemierzał z nimi wiele dróg, pielgrzymował, zdobywał fortece, uwalniał wziętych w jasyr, ratował białogłowy, by szczęśliwie żyć w wolnym kraju. Lubił też niezwykle przygody bohaterów walczących ze smokami, czarownikami, herosów szukających wyjścia z labiryntu magii i złych mocy. Umiał wędrować z nimi, by udowodnić, że dobro zawsze zwycięża. Kochał świat elfów, wrózek, kopciuszków, a także okrutnych władców, którzy, wybierając złe moce, skazywali się na unicestwienie. Interesowały go także zdumiewające opowieści, których autorzy wyprawiali swych bohaterów w kosmos. Tam wraz z nimi poznawał odległe o tysiące lat świetlnych planety pełne zagadek i dziwnych postaci. Jego wrażliwa dusza otwierała się też, kiedy wchodził do ogrodu poezji. Wsłuchiwał się wówczas w ulotny śpiew muz i Orfeuszy. Wyobraźnia Antoniego była niczym księgozbiór... Otwarcie jej przypominało rozchylenie bram czasu, zdobycie nowego lądu, wejście na szczyt. Lubił ten moment przekraczania granicy, upajał się nim jak narkotykiem lub dobrym winem. Szukał w wyobraźni tej rzeczywistości, której nie mógł odkryć w życiu. Chciał jak księgę zapisać marzeniami swoje życie. Rozumiał pierwotne przekonanie, że księga jest metaforą istnienia, którą zmysły, doświadczenia, natura i Bóg wypełniają treścią. Przekonanie to rosło w nim tym bardziej, im bardziej zmysły odmawiały mu posłuszeństwa. Jego osobista księga miała coraz więcej luk, ułomków, zapaści, które Antoni wypełniał życiem fikcyjnych bohaterów. Jego księga od lat pustoszała, ale roztaczał się w niej zapach lawendy, tamtej lawendy...

Od wielu lat budził go natarcywy sen, którego spełnienia szukał na jawie. Było tak i tego ranka. Staruszek obudził się zmęczony i znużony. Za oknem, przez które wpadały delikatne smugi budzącego się dnia, słychać było wiatr. Wiał cichutko, ale nieprzerwanie, jakby szukał schronienia przed ludźmi. Antoni usiadł

ostrożnie na łóżku. Pogłaskał Filozofa, który położył łeb na jego kolanie. W ten sposób psisko witało swego pana każdego ranka. Oboje czuli niespodziewany niepokój. Mężczyzna zbliżył się do stołu, oparł obie dłonie na blacie i wsłuchał się w ciszę, wyczekując jakiś znaków. Nagle zrozumiał, że w ogrodzie dzieje się coś dziwnego. Wyczulony, jak zawsze na bezpieczeństwo właściciela, Filozof zbiegł po schodach i zatrzymał się w korytarzu domu. Obwąchał drzwi. Spokojny i milczący, teraz skomlał i pisał. Nie było jednak w tym strachu ani agresji. Po chwili na parterze pojawił się także Antoni. W półmroku wschodzącego słońca szukał drogi, którą przemierzał codziennie. Chwycił swoją laskę i wówczas poczuł się pewniej. Otworzył okno. Uderzył go zapach lawendy, który roztaczał się już nie tylko w ogrodzie, ale także w całym domu. Prawie szeptem zapytał:

- Jest tam kto?

Niestety nikt nie odpowiedział. W oddali słychać było tylko chór drzew, ptaków i wiatru. Jak setki razy i teraz przywidzenie okazało się tylko snem. Nie było dnia, by wspomnieniami nie wracał do tamtego czasu, kiedy kochał młodą dziewczynę o modrych oczach. Ostatni raz spotkali się pewnego jesiennego przedwojennego wieczoru. Łączyło ich uczucie, którego nie chciały zaakceptować rodziny. Estera była dziewczyną z sąsiedniego podwórka. Mieszkała wraz z rodzicami i młodszym rodzeństwem niedaleko biblioteki na Starym Mieście. Miała piękne rude włosy i zielone jak źródło oczy. Antoni lubił zanurzać się w nich i czuć, że świat właśnie się kończy, że poza przestrzenią wyznaczoną ich źrenicami niczego już nie ma. Kochał ją, bo była, czuł jej ciepło i zapach. Widywali się codziennie w drodze do gimnazjum. Wieczorami spotykali się w parku, schowani przed wzrokiem niezyczliwych, ukryci przed światem. Niestety kiedy mieli po dwadzieścia lat, przesądzona została ich przyszłość. Rozstali się... Estera wyjechała z przyszłym mężem, którego wybrał jej ojciec, i zamieszkała w odległym o setki kilometrów Krakowie. Rozpoczęła tam studia medyczne. Antoni został w miasteczku. Wybrał drogę niełatwą. Miał zostać, jak życzyła sobie jego rodzina, prawnikiem. Niestety po kilku latach studiów okazało się, że postępująca podstępnie choroba uniemożliwiła mu naukę. Wówczas porzucił życie i zamknął się w domu z ogrodem, tego domu, który niegdyś wypełniały śmiech i głosy. Nie był zamożny, ale bieda mu nie doskwierała. Nigdy się nie ożenił. Kiedy czuł się samotny, zabierał książki i siadał na ławce w ogrodzie. Wciąż czekał... Niestety mógł liczyć tylko na sny, namiastkę szczęścia, które stracił, które musiał porzucić.

Nie wiedział, co stało się z Esterą, dopóki pewnego razu, nie poszedł, jak co tydzień do biblioteki i w drzwiach nie minęła go starsza pani. Jego zmysły pobudzone unoszącym się w powietrzu zapachem lawendy, przywołały sen, który śnił od tylu lat. Minął bramę biblioteki i wszedł do środka. Jak zwykle uśmiechem powitała go pani Ludmiła. Przed chwilą przeprowadziła niezwykłą rozmowę z kobietą w szarym palcie, tą samą, którą Antoni minął w bramie. Starsza pani przyniosła wypożyczone kilka dni temu książki. W jednej z nich znalazła kopertę, a w niej suszoną lawendę. Wiedzioną intuicją chciała sprawdzić, czy jej przypuszczenia mogą być prawdziwe. Szukała osoby, która tę lawendę zostawiła. Wypytywała, kto czytał książkę w ostatnim czasie. Była delikatna i bardzo taktowna. Zupełnie rzeczowo zadawała pytania, uchylając rąbka tajemnicy. Opowiedziała bibliotekarce o młodym, przystojnym chłopcu, którego opuściła, gdy rodzice wydali ją za mąż za innego. Mówiła ze wzruszeniem o jego bladoniebieskich oczach i ciepłych dłoniach, które tuliły jej zziębnięte ręce podczas kradzionych chwil w parku, o dniach, kiedy oboje czekali na księżycowe spaceru wśród szumiących drzew, o dotyku, w którym szukali wytchnienia dla swojej miłości. Wiedzieli, że jej życie jest krótkie, ale niezwykle. Skazani na decyzję rodziców, starszyny i tradycji, wobec których byli bezsilni, zrezygnowali z siebie.

- Nie umiałam bez niego żyć, ale nie mogłam porzucić swojego życia. Miałam męża, który mnie kochał i dwie córki, które mnie, nas potrzebowały. Starłam się spędzać dzień za dniem i spokojnie oddychać... Tęskniłam..., ale nie mogłam uciec... nie mogłam..., poza tym nie wiedziałam, czy ten, którego kochałam, czeka na mnie..., jeszcze czeka, przecież miał prawo wyboru, miał prawo żyć własnym życiem – kobieta zawiesiła głos.

Dość niespodziewanie podziękowała bibliotekarce i wyszła. Pani Ludmiła chciała pomóc staruszce, ale zasady prowadzenia biblioteki zabraniały udzielania informacji, o które prosiła. Nie mniej wzruszona jej historią, odważyła się na pewien gest. Sięgnęła do katalogu i sprawdziła. Zatrzymała kobietę i zdradziła jej kilka informacji. Okazało się, że szukaną osobą był pewien niewidomy staruszek, który na przekór swemu kalectwu przychodził regularnie do biblioteki. Nikt się nie dziwił, zwłaszcza pani Ludmiła, że choć sam nie mógł czytać, od czterdziestu lat wypożyczał książki. Była to bowiem jedyna możliwość odwiedzania przez niego innych światów, z nich tworzył własne historie.

Nie potrzebował do tego słów, wystarczały mu obrazy, które wypełniały jego księgę, pełną cudów stworzenia. Imaginacja i tęsknota sprawiały, że zapisywała się ona tkliwością i tekstem wspomnień, które choć w swej naturze nienamagalne, w jego wyobraźni ożywały, stawały się materią.

Tuż po wyjściu starszej pani Antoni stał się mimowolnym świadkiem rozmowy w bibliotece. Bibliotekarki nie zauważyły wchodzącego cichutko staruszka, który zorientowawszy się, że są czymś poruszone, pozostawił przyniesione książki pod opieką Filozofa. Następnie, jak zwykle, ruszył, by znaleźć nowe. Słuchał z przejęciem historii, która wydawała mu się znajoma, bardzo znajoma... Kiedy szukał książek, pani Ludmiła mówiła z przejęciem:

- Słyszałaś, słyszałaś, jakie to musiało być okrutne. Kiedy mieli po dwadzieścia lat, zapobiegliwi rodzice wysłali ją i jej przyszłego męża do Krakowa. Tam skończyła medycynę, urodziła dwoje dzieci, a kiedy one dorosły, odeszła od męża, bo nigdy nie była z nim szczęśliwa. Mieszkała samotnie, szukała, ale nie znalazła niczego..., więc postanowiła wrócić. Chciała odnaleźć ukochanego, ale nikt nie słyszał o prawniku, którego szukała. Niezwykła miłość, niezwykła opowieść, zupełnie niezwykła... - powtarzała. Na co dzień spokojna pani Ludmiła była historią zupełnie poruszona.

Antoni znieruchomiał. Nie wierzył, że historia, którą usłyszał, może być prawdziwa. W młodzięcym odruchu chciał pobiec do bram biblioteki, by zatrzymać kobietę w szarym płaszczu. Niestety nie mógł tego zrobić. Przypomniawszy sobie tylko, jak w zeszłym tygodniu zerwaną w ogrodzie lawendę włożył do koperty. Nie zapytał bibliotekarki, kim była ta kobieta. Bał się, że rzeczywistość, w której się znalazł, jest zupełną nieprawdą, kolejnym snem, przywidzeniem, kreacją pragnień. Nie wypożyczył też żadnej książki. Uciekł. Filozof wpatrzony w pana, dotykał jego nogi jakby rozumiał, że teraz jest mu najbardziej potrzebny. Smutek przygnębił staruszka tak bardzo, że wyszedł z biblioteki z brzemieniem na barkach, minął furtkę z niewypowiedzianym żalem. Nie mógł uwierzyć, że mijając kobietę o zapachu lawendy, i wchodząc do biblioteki, minął bramę czasu. Wiedział, że w domu czeka na niego samotność i próżnia, w której zamieszkał przed laty. Ogromnie smutny i przerażony doszedł do swej kamienicy.

Stanął w progu swej samotni i czekał na znak..., na cokolwiek. Nic takiego się nie stało. Nie zadzwonił telefon, nie przyszedł niezapowiedziany gość, nie..., nic takiego się nie wydarzyło, tylko Filozof był bardziej czujny niż zwykle.

Śledził każdy ruch Antoniego, który przeszedłszy ogród, usiadł na ławce, gdzie zwykle zapadał w świat lektury. Tym razem nie przyniósł książek, nie mógł więc zamknąć drzwi do swej duszy.

Mężczyzna zebrał siły i ruszył ścieżką. Tuż za nim czujnie szedł biszkoptowy labrador. Antoni zatrzymał się przy rabatce pełnej lawendy, by zerwać kilka łądyżek. Trzymając je w mocnym uścisku, szukał wytchnienia dla swego żalu. Usiadł na ławeczce pod murkiem. Tuż obok położył się Filozof. Czekał aż właściciel zacznie spokojnie oddychać, by położyć łeb na jego kolanie i spojrzeć w nieobecne oczy staruszka. Szum drzew i krzewów ucichł, a słońce zapadało za widnokrąg. Cisza była tak przejmująca, że słycać było westchnienia staruszka. W blasku złotoczerwonego światła można było dostrzec refleksy i cienie, które jednak trudno było rozpoznać i zidentyfikować. Antoni głąskał Filozofa, dając mu tyle czułości, ile mieściło jego serce. Pies, wsłuchany w emocje pana, czekał na każdy jego gest. Po chwili ręka właściciela znieruchomiała, a on sam poddał się sile snu, tego samego, który towarzyszył mu przez lata, pełnego zapachu lawendy i ciepła. Znów spacerował po parku z dziewczyną w rudych warkoczach. Była tuż obok niego, ale nie mógł jej dotknąć. Czuł jedynie jej obecność i widział... widział jej oczy.

Misterium snu i przyjaźni przerwał zgrzyt furki do ogrodu. Filozof podniósł się z miejsca i odwrócił w stronę ścieżki. Wstał i nieśmiało zamerdał ogonem. Przebudzony ze snu Antoni czuł się nieco zakłopotany. Przez witraże liści do ogrodu wpadało ciepłe, jesienne światło. Ścieżką szła kobieta w szarym płaszczu. Delikatna jak trawa... Przedzierając się przez nisko wiszące gałęzie, szukała właściciela. Jej spokojne kroki roznosiły się w ciszy przyrody. Gdy zbliżała się do ławeczki, na której siedział zdumiony wizytą Antoni, słycać już było puls obojga. Niewidomy staruszek poczuł silny zapach lawendy i zobaczył w blasku swoich wyobrażeń tę dziewczynę ze snu...

W jednej chwili oboje pojęli, że zdołają życiu wyrwać jeszcze kilka chwil.

Barbara Malawska

„Odtajniony“

Już prawie nikt we wsi nie pamiętał starego Antoniego. Leśnego Antka, jak jeszcze kilka, może kilkanaście, lat temu powszechnie o nim mawiano. Lecz wiadomo jak to jest. Starych z wolna kruszył czas i Bóg spokojnie przed swe oblicze powołuje, a młodzi gremialnie wieś od ponad dekady opuszczają w kierunku północnym najczęściej, albo zachodnim z rzadka, bo Niemcy przestali być w modzie, zaś w Holandii i Belgii za dużo znajomych, co jeszcze o tym i owym mogliby niechętny – albo i celowo – do rodziny donieść. Średniolatkiem z kolei tak zapętleni w rytm czasów, że poza świadomością istnienia niewiele widzą wokół, lub zgoła tyle, co nic. Sporo też małżeństw się rozpadło, bo przez internet on albo ona nowe miłości połapali, no i takim to sposobem ubywać zaczęło tych, co Antoniego jako tako pamiętali.

Szczęście do ewentualnych spotkań z nim mieli ci, co z rana do jedyne go spożywczego po świeże pieczywo się udawali, albo po najtańsze produkty z poprzedniego dnia pozostałe i sprzedawane przez panią Bożenkę za pół ceny, bowiem i Antoni też się udawał. Zawsze coś tym sposobem zaoszczędzić się dawało. Zazwyczaj był pierwszym klientem. Zazwyczaj cztery bułki zalegające od wczoraj kupował – chyba, że były już tylko dzisiejsze – i coś słodkiego. Od czasu do czasu kostkę masła, na poprawę wzroku, serek homogenizowany i dżem. Jak najrzadziej kiełbasę. Jeśli już, to kaszankę, bo najtańsza. Warzyw i ziemniaków prawie wcale, bo te miał ze swego ogrodu, który też uprawiał tak, że niewielu go widywało, albowiem ogród jego otaczały gęsto posadzone świerki w czterech rzędach. Tak, iż patrząc od ulicy, bądź z jakiegokolwiek innego miejsca, miało się wrażenie, że ma się przed sobą wstęp do dżungli. Sam Antoni cieszył się z tego niby lasu, bo nabrały te drzewa już takich cech, że pod nimi grzyby rosnać zaczęły, nawet tak szlachetne jak rydze. Nie zbierał, bo specjalnie się na grzybach nie znał, radzić się nie zamierzał kogokolwiek, a żona – jedyna w rodzinie na grzybach się znajdująca, podobno nawet muchomory umiała tak przyrządzić,

że wątroby nie rozwalały i jadalnymi być się okazywały – nie żyje od kilku lat. To po jej zejściu z tego świata do reszty w sobie się zamknął i dla otoczenia niedostępnym uczynił. Toteż szczęśliwcami byli tylko ci, co w okolicach szóstej rano do spożywcza po cokolwiek się udawali i wtenczas ze staruszką choćby grzecznościowe „dzień dobry” wymienić mogli, o pogodę czasem zapytać, o zdrowie i zadziwić się, gdzież to się pan podziewa przez ten czas, kiedy pana nie widać? Na takie zdawkowe zaczepki – bo wypadało z grzeczności o głupstwo nawet seniora zagadnąć – odpowiadał zwykle monosylabicznie, machał przy tym ręką, albo tylko westchnął. Dla pytającego oznaczało to, że stary jeszcze żyje, po czym każdy udawał się w swoją stronę, do swych spraw umysł i organizm zaprzęgając. Zresztą, Antoni bynajmniej nie zabiegał – przynajmniej od trzech dekad, a od wzmiankowanej śmierci żony w szczególności – o jakiegokolwiek względy miejscowych, już najmniej o najdrobniejsze choćby przejawy czapkowania. Dość mieć zaczął przed laty lokalnej obłudy, tego patrzenia, jakby tu móc jeden drugiemu dokopać, powalić, skopać i pozostawić w błocie. Odsunął się od ludzi i oni od niego. Pozwolił nawet na to, że zapomnieli o nim najbliżsi. Nawet mieszkający kilka domów dalej syn zaglądał do ojca raz w miesiącu, albo i rzadziej. Synowa tylko z okazji świąt – wiadomo, swoje dzieci i wnuki niańczyć musi, najczęstsza jej wymówka – a wnuki, o prawnukach nawet wspominać nie warto, jakby całkiem zapomnieli o istnieniu dziadka. Początkowo ubolewał na tym, ale z czasem uznał, że ma to swe dobre strony. Zwłaszcza w przypadku wnuków, które oszczędziły go w kwestii wyciągania ręki w kierunku jego portfela w okolicach poboru emerytury. Dałbym, powtarzał sobie, kiedy przychodziło mu to do głowy, albo gdy na taki stan rzeczy narzekali dawni koledzy, gdy się jeszcze z takimi żywymi spotykał, ale skoro wnuki wytresowane były przez rodziców w omijaniu dziadka i ręki do portfela ani kieszeni nie wciskały, to i on sam postanowił się nie narzucać. Syn tylko w pewnym momencie złośliwie Antoniemu przygadał, że choć emeryturę ma wysoką, z dodatkiem kombatanckim na dodatek, to jakoś nie przyszło mu do głowy groszem dzieciakom rzucić, nawet wtedy, gdy miały osiemnastki i na prawo jazdy, albo pierwszą w życiu brykę zbierały. Antoni ze spokojem kąśliwość przyjął, choć ślinę wywołaną wściekłością i rozedrganiem serca przełknął, po czym nie patrząc nawet w synowską twarz odburknął: Nie pamiętam, by mnie któryś z wnuków na jakąś osiemnastkę zapraszał. Tak się bowiem składa, że syn Antoniego samych synów – czterech – się dorobił, z czego dwóch na dobre w Skandynawii się ulokowało.

Od czasu do czasu starzec, bo już prawie dziewięćdziesiątka mu stuknęła, zastanawiał się, co to będzie, jak całkiem zaniemoże, słuch i wzrok straci, a w konsekwencji orientację w swoim mieszkaniu? Na pewno, rozważał, te hieny – myślał wtedy o dyrekcji leśnictwa, albo będących dysponentami zajmowanego przezeń mieszkania – wywiozą mnie do jakiegoś przytułku i tam zdechnąć przyjdzie. Tak myślał, bo nie miewał od lat złudzeń, że na syna i córki liczyć nie może. Zapomnieli o nim wraz z wstrzymaniem strumieni pieniędzy transferowanych do ich kieszeni w chwilach stawiania przez nich domostw. Ze szczególną żarliwością tatusiem się interesowali, gdy ten niespodziewanie wraz ze śmiercią komuny otrzymał spory spadek po zmarłym w Anglii wuju, o istnieniu którego miał całe życie mgliste pojęcie i wszystkiego ze trzy razy w życiu go widział. Na dodatek w okolicznościach prawie konspiracyjnych, bo ten – u Andersa zasłużony, Monte Cassino przetrwał – zjawiał się w domu ojca pod osłoną nocy, jakby wiedząc, że mimo takiego bagażu przeżyć jaki w sobie skumulował, starcia z wężem komunistycznych psów mógłby nie przeżyć. A żyć chciał, bo po wojnie w Anglii robił to, co było jego pasją, naprawiał i składał zegarki. Do tej pory stary Antoni pojąć nie może, jakim sposobem prawie dwieście tysięcy funtów weszło w jego posiadanie? Nie dociekał. Pieniądze przyjął. O dzieci zadbał, o sobie jakby zapomniał. Częściowo przez żonę, bo ta zamiast oszczędzić to, co dla nich zostało, rozkochała się w peweksach i zanim jeszcze odeszły w zapomnienie, nawet kisiele i budynie w tych przybytkach nabywała, o kieckach niemodnych nie wspominając. Najważniejsze, że przed koleżankami mogła poszpanować, że to zachodnie, niemieckie, albo amerykańskie, z peweksu.

Byłby pewnie Antoni wiódł swój rytmicznie monotony – nudny i mdły – żywot do kresu dni swoich, gdyby nie pewien artykuł w gazecie, którą w piątki wszysce we wsi kupowali z uwagi na dołączony program telewizyjny. Sprawcą wielkiego zamieszania okazał się syn sołtyski - i katechetki zarazem w miejscowej szkole. Chłopak ledwie zdał maturę i zamarzył o studiowaniu dziennikarstwa. Na to wszystko szalenie ambitny. Dostał się bez trudu do dobrego uniwersytetu w stolicy, po czym z miejsca wziął się za szturmowanie pieczołowicie kleconymi artykułikami i dłuższymi formami reporterskimi wrót lokalnych gazet. Właśnie sklecił, obłożony wszelką literaturą na temat, artykuł o lokalnych bohaterach powstania warszawskiego. Tekst na czasie, bo w okolicy kolejnej rocznicy – i okazji do toczenia sporów, czasem i poniewierki umęczonych bohaterów – zmontowany.

Okazał się widać na tyle dobry i nośny, że w redakcji zdecydowano się go opublikować. Autor sypał w nim faktami, datami, nazwiskami i kryptonimami, wyluskując spomiędzy wierszy zapisanych i wypowiedzi obyczajową pikanterię oraz osobiste dygresje uczestników odnośnie różnych wątków z wydarzeniem związanych. I z tego wzięła się burza lokalna. Jeden z lokalnych miłośników historii, co to wiedzą doskonale, choć nigdy niczego nie przeczytali, Maciek Leszcza, palacz z piekarni, dzierżąc w dłoni dopiero co nabytą i ledwie przeczytaną gazetę, natychmiast postanowił udać się do młodego dziennikarzyny – inaczej nie potrafił w tym momencie o młokosie myśleć – i solidnie się z gówniarzem rozmówić. Nie musiał biec daleko, choć już zadyszkę złapał, bo młody akurat do kiosku po prasę wyruszył. Od razu został zaatakowany – już nie tylko przez Macieja, ale jego dwóch kumpli od piwa na dodatek – serią zarzutów, jakim prawem śmie pisać o tym starym Antonie komunście jako o rzekomym bohaterze z powstania, które wszyscy czczą jak świętość jakąś, jak relikwię niemal traktują, na kolanach do uczestników podchodzą, msze święte odprawiają w ich intencji, nawet najwyższe czynniki władzy chylą czoła, łącznie z panem prezydentem... I gdy Leszcza purpurowieć na twarzy zaczął i pot wystąpił na jego łysinę, młody dziennikarz ze spokojem podsumował:

- Co się pan, panie Macieju, tak pieni? Prawdę tylko napisałem. Nic więcej.

Maciej prawie w posąg się zamienił z wrażenia. I irytacji zapewne, bo taki szczył..... . Wpierw posądził w myślach szczeniaka o bezczelność. W mordę nawet zamierzał dać. Tym bardziej, że ten nonszalancko odgarnął włosy i zapalił papierosa. Zaraz jednak przypomniał sobie o jego matce – nauczycielce i sołtysce, z którą razem w radzie sołeckiej i parafialnej działał. Ledwie gniew powstrzymał.

- Ale to jakieś brednie są! - Tyle w końcu był w stanie wykrzyknąć.

- Nieprawda - bronił się przyszły student dziennikarstwa, dumę zarazem czując, że tekst rezonans społeczny wywołał.

- Jak to nieprawda?! Jak to nieprawda? Przecież wszyscy we wsi wiedzą, że Anton to komuch był! Ormowiec na to wszystko. Na swojaków donosił! To też wszyscy wiedzą, tylko jeszcze dowodów nie mają.

- Nie wszyscy, panie Macieju.

- Jak to?

- Bo ja na przykład nie wiem. Powiem panu jeszcze, że nigdy nie słyszałem, by ktoś w taki sposób o nim mawiał. Mało tego, ja nawet pojęcia nie miałem, że w naszej wsi taki ktoś mieszka.

- Taka gnida, wsza czerwona.....

Macieja usiłowali powstrzymać, ledwie trzymający się betonowego chodnika, otumanieni chmielowym wywarem kumple, gdyż ten wściekłość wymieszaną ze zdziwieniem również kilkunastoma solidnymi łykami piwa zapić musiał.

Kiedy Maciej dochodził do siebie, młody zdążył kupić gazetę i zamierzał udać się w stronę domu. Leszcza jednak nie odpuszczał.

- A skąd pewność, że Antoni to akurat ten właściwy?

- Co to znaczy właściwy?

- Że akurat waleczny w tamtym czasie był?

- Z książek. – Młokos ze stoicyzmem uzupełniał wiedzę natręta.

- Jakich to niby?

- Zwyczajnych. Z biblioteki tutejszej.

Leszcza wybałuszył oczy z niedowierzania.

- I nikt o tym nie wiedział, że tam o nim takie coś wypisują?

- Ja wiedziałem.

- Ale czemu we wsi nikt?!

- Zdaje się – młody siłił się na złośliwca i bezczelnego – że to trzeba od czasu wejść do biblioteki i trochę w tych regałach poszperać.

- W życiu nie byłem w bibliotece – wypalił Leszcza i sprawiał przy tym wrażenie dumnego. - Żadnej książki w życiu nie przeczytałem i na człowieka wyrosłem.

- I tu tkwi błąd, bo teraz nie musiałyby się pan zadreć za zdumienia.

- A co tam takiego o tym..... - zatrzymał się na moment, pewnie coś niemilego o Antonim wypalić zamierzał - starym zrzedliwcu wypisują?

Młody zawahał się. Sprawdził czas na ekranie smartfona, a przy okazji, czy nie ma jakiejś nowej wiadomości. Nie chciało mu się o Antonim opowiadać. Tym bardziej, gdy Leszcza z oburzeniem stwierdził, że skoro stary ma takie kwiatki w życiorysie, taki bukiet – nawet tak kwiecistego zwrotu użyć się odważył, co dla młodego poezją wręcz zapachniało – to czemu nigdy nikomu ani słowem o tym się nie zająknął?

- A czy ktoś go o to poprosił?

Riposta młodego sprawiła, że Leszcza i jego kumple ponownie jakby w posąg się pozamieniali. Jeden z nich nawet szepnął ledwie słyszalne „racja”. Tymczasem młody z miejsca uznał, że skoro jego artykuł takie emocje tuż po dostarczeniu

gazety do kiosku wywołuje, to na dobre powinien poświęcić się tego rodzaju dziennikarstwu. Myśl o napisaniu książki – historycznego reportażu – w głowie się załęgła. Uznał, że skoro Leszcza i jemu podobni odczuwają głód wiedzy na temat lokalnego bohatera, to trzeba ten głód zaspokoić, pustkę w głowach nasycić stosowną wiedzą. Wiedział, że stary na żadne pytanie nie odpowie, bo już w czasie rozmowy z nim usłyszał, że czasu udręki wojennej wspominać nie lubi, a powstańczej w szczególności. Dał się jednak namówić, przy użyciu słownych forteli bezczelnego młodziana, na spowiedź z życia prawie totalną. Zaczął wspominać też przedwojenną sielanką na wsi koło Tczewa, gdzie akurat do mutacji głosu dorósł, kiedy niemieckie czołgi i samoloty hukiem rozdarły spokojną od zawsze okolicę. A zaraz potem stracił z pola widzenia ojca – jak się po latach okazało, rozstrzelanego kilkanaście kilometrów dalej, bo jedyną jego winą była praca na kolei – i wraz z bratem i matką udali się na Podlasie, w okolice Supraśla. Matka miała tam siostrę. Tamten rejon sprawiał, że Niemcy jacyś spokojniejsi byli. Jakby nie okupanci, podkreślał. Po jakimś czasie zrozumieli wszyscy dlaczego? On nie bardzo, bo jeszcze dzieciakiem był. Zaraz okazać się miało, że wraz z nastaniem jesieni – wyjątkowej tego roku w tamtych okolicach – jej piękno zakłóciła sowiecka horda, swołocz czerwona, jak poszeptowano po okolicy. Nie brakło jednak takich, co tę czerwoną szarańczę z flagami oraz chlebem i solą witali, komuniści podobno żydowscy. W następnym roku gniew przeciwników pojał, gdy w pierwszej wywózce za Ural trafił szwagier matki. Jeden sowiecki politruk za bardzo też matką zaczął się interesować. Zatem któregoś dnia, a właściwie nocy, uciekli do stolicy. Tam, mawiała mama, także jej ojciec, ludzi mrowie, łatwiej o robotę jakąś i skryć się nietrudno. Wtedy zrodził się pomysł wstąpienia do organizacji. Jako piętnastolatek pojęcia nie miał, z czym wiąże się przynależność do organizacji. Mama przestrzegła, że nie może tego zrobić – mimo jego zapewnień, że ojczyzna jest najważniejsza, bo tak mówią koledzy i nauczyciel z tajnej szkoły – bo lada czas musi dojrzeć na tyle, by stać się głównym żywicielem rodziny, wziąć odpowiedzialność za siebie, młodszego brata i ją samą wesprzeć. Rozumiał, bo widział z jakim trudem zdobywała cokolwiek, co nadawałoby się do uwarzenia najprostszej strawy. Dostał zajęcie przy wsparciu nowych kolegów, przede wszystkim Bartosza, Warszawiaka z krwi i kości, choć nie cwaniaka, który wkręcił go

do pracy przy naprawach taboru kolejowego. Podobała mu się robota – co kilkakrotnie podkreślał w rozmowie z przysłym dziennikarzem – ale coraz bardziej ciągnęło go, jak i wielu młodych z otoczenia, do zrobienia czegoś wielkiego, heroicznego, co dałoby w kość Niemcom, co poprawiłoby ich samopoczucie na tyle, że patriotyzm ego by rozsadzał. Wiele razy chciał o tym wszystkim matce opowiedzieć, ale zdawał sobie sprawę z jej nerwowości, a taka wzmianka mogłaby stan jej nerwów dodatkowo pogorszyć. Zatem zgodnie z umową, potem już rozkazem konkretnego przełożonego z Batalionu „Miotła”, trzeba było nabrać wody w usta. Działać na rozkaz. Nie podejmować żadnych działań na własną rękę, choćby i potrzeba czynienia rzeczy wielkich zżerała od środka aż do łoż, gryzienia paznokci i bólu skrajnego. Gdy matka pytała coraz częściej o przyczyny późnych powrotów, odpowiadał najczęściej kłamstwem: zagadaliśmy się z kolegami. Czasami usiłowała żartować: czy przypadkiem ci koledzy nie noszą spódniczek? Chwytał żart uznając, że niechcący sama dostarczyła mu paliwa do wymówek. Kłamał nadal, wierząc, że tak można, wypada i trzeba, wszak wszystko to dla wielkiej sprawy.

Latem czterdziestego czwartego już wiedział, wszyscy wokół szeptali, że coś wielkiego może – nawet musi! - się wydarzyć. Zatem gdy tylko wybuchło powstanie ruszył z kolegami w dzielnicę, na barykady, potem na cmentarze, wreszcie do kanałów. Pragnął walczyć, zwyciężać, dawać łupnia wrogowi czarnemu i czerwonemu, zatykać z całą paczką flagę zwycięstwa, nie zważając na trud, brud, smród rozkładających się ciał, pot, krew i śmierć, brak wszystkiego, ubywanie bliskich i dalszych znajomych, utratę ledwie rozbudzonej miłości, wymiotowanie na widok zabijanego dziecka, nieświadomego okrucieństwa zdarzeń, bo ledwie narodzonego, rany odczuwalne, aż po wystrzelaniu ostatniego magazynka i wyrzuceniu w kierunku natarcia ostatniego granatu..... ocknął się w szpitalu. Jakimś cudem urządzonym u sióstr, dokąd trafił – jak się potem dowiadywał – jeszcze większym cudem. Przeżył. Kilka dni leżał wśród obcych, lecz duchem z tej samej koszarnej kołysanki. Zatem gdy tylko poczuł się silniejszym, mimo dojmującego bólu pod łopatką – podobno jakiś odłamek, jak dowiedział się od piętnastoletniej Bianki, sanitariuszki, która przy akompaniamencie matczynych szlochów i błagań o pozostanie do powstania pobiegła, blondyneczki, która go zauroczyła i którą obiecał poślubić po wszystkim. Ale gdy wrócił, dowiedział się, że nie doczekała. Postanowił dotrzeć do chłopa-

ków z oddziału. Odnalazł tylko Franka, „Wiatraka”. Pozostali zginęli, albo zaginęli, dowiedział się przed końcem witania. Żal ścisnął gardło i wrócili do kanału. Z nową nadzieją na, mimo wszystko, piękne zwycięstwo.

Gdy stał w zwartej gromadzie z kilkoma chłopakami i dziewczyną, jakąś przypadkową, choć z opaską, otoczony przez Niemców gotowych w każdej chwili oddać ostatni strzał, prosił w myślach o wybaczenie całej świat, przede wszystkim matkę. O niej myślał najintensywniej: Co teraz pocznie? Dokąd się uda? Ale to nie był czas na myślenie. Niemcy nie strzelali, ale pędzili przed siebie. Pędzili też tłumy cywilów. Nie myślał wtedy o nich, bardziej o sobie, a właściwie o małym bracie i czekającej rodzicielce. W większej kolumnie ktoś zawyrokował, że do Auschwitz pędzą. Zaczął w to wierzyć z kolegami, między innymi z Frankiem, gdy znaleźli się w wagonie. Od pierwszego gwizdu parowozu zaczęli obmyślać plan ucieczki z transportu. Franek uznał to za szaleństwo, ale Antoni stwierdził pytająco: A co mamy do stracenia? Śmierć nas czeka, a tak, to chociaż.... Strach było kończyć, nadzieję niepotrzebnie rozniecać. Po kilkunastu godzinach, gdy pociąg zatrzymał się w szczerym polu i zrobiło się jakieś niewytłumaczalne zamieszanie, postanowili z Frankiem nawiać. Biegli na oślep. Byle przed siebie, w pobliskie krzaki i zarośla. Zaczęły padać strzały. Serie całe. Krzyczał do Franka: Dawaj, dawaj, nie zatrzymujemy....., ale krzyczał już tylko w powietrze. Najwidoczniej pierwsze strzały, albo seria – chyba jedyna – skosiła Franka. Tym bardziej gnał przed siebie co sił w nogach, a gdy wszystko wkoło jakby ucichło, zakopał się w wielkiej przyźmie grzejącego i pachnącego siana, do do snu błogiego ułożyło. Gdy się odklejał od rzeczywistości, umęczony, głodny i zbolały po stracie jedyne przyjaciela, było mu wszystko jedno, czy dotrwa do przebudzenia, czy go znajdą, ktokolwiek, Niemcy, albo jacyś swoi, może życzliwi? Na szczęście z samego rana trafili się ci drudzy i bez zbędnych pytań w prymitywnej, przesyconej wilgocią i zapachem dopiero co zebranych kartofli, ziemiance ukryli.

Przetrwali dali do momentu trafienia w lasy puszczy koło Białegostoku, gdzie z chłopakami od „Bartka” ruskich i swoich „zacierwionych” zwalczali. Nawet jednego znajomka z Supraśla w oddziale spotkał. Rany po stratach powstańczych u „Bartka” podleczył, o całkowitym wyleczeniu mowy nie było, ale szybko stwierdził, że przesycony duchem zemsty i jakąś niewysłowioną zgnilizną klimat oddziału nie jest najlepszym miejscem dla niego. Nie widział tu nastroju

do budowania wielkiej i wolnej ojczyzny, takiej z marzeń, jakby idealnej i idealizowanej. Nawiał. W okolicach Tczewa swe strzaskane życie – jeszcze młode – usiłował poskładać. Tym chętniej, bo na starych, przed wojną opuszczonych, śmieciach matkę z bratem już zastał.

I gdy snuć opowieść o cikliwym powrocie zaczął, młody zaczął o tę nieczęstą partię dopytywać. Bał się, że staruszek wybuchnie, ale tylko nappełnił fajkę, podpałił, z głębokim opanowaniem i zadumą w spojrzeniu wciągnął dym i wyjaśnił: „To nie takie proste. Od tego miejsca się wszystko zaczęło. Ja wiem, że wy dziś wszystko przez pryzmat białego, albo czarnego, akowca, albo partyjnego i tak bez końca“.

Mimo wojenno-wojskowego stażu, ludowe wojsko w czterdziestym dziewiątym się o niego upomniało. Nie chwalił się akowskim życiorysem. Wiedział, czym takie przechwałki skończyć się mogły. Ale na pryczy, między kumplami więź się jakaś zrodziła, że wszystko zaczęli sobie opowiadać. To i Antoni odważył się po kilku miesiącach wspomnieć, dla poprawienia wizerunku w oczach kumpli z sali, o warszawskich i pozostałych przeżyciach. Nazajutrz, skoro oczy otworzył, stwierdził, że wielki błąd popełnił. Bowiem z samego rana przyszli po niego dwaj od politycznego, ujęli pod łokcie, ręce wykręcili i przed oblicze majora zawlekli. Zaczęło się przesłuchanie, takie w stylu bezpieki: A najgorsze – wspominał Antoni – było to, jak major mnie po pysku walił, żołnierz żołnierza. Taki wstyd. I ból. Do dziś chyba, uznał młody, widząc łzę spływającą bruzdami pooranego przez czas policzka.

Potem było więzienie, próba oskarżenia o działanie na szkodę ojczyzny ludowej, zapach zdrady usiłowali podsuwać, podpisy jakieś składać, straszyć strykiem, lecz na szczęście zmarł Stalin, a potem nie mniejszy rzeźnik Bierut. Powoli wracał do spoczwarzonej rzeczywistości, zaszywając się w lesie zawodowo i chwilami dosłownie. Tylko tam czuł się bezpiecznie. Zaraz potem znalazł inną przystań. Jagody zbierała. Martę, a wraz z jej pojawieniem się wielką, prawdziwą miłość. Jeszcze większą, gdy zaczęły rodzić się dzieci. I wtedy komuniści dopadli go kolejny raz: Co miałem zrobić? Trójka dzieci, czwarte w drodze i co? Wracam z pracy, a tu moja Marta z tym naszym lichutkim dobytkiem i dziećmiakami siedzi zapłakana przed domem. Okazało się, że zostaliśmy eksmitowani. Sąsiedzi nas na noc przyjęli, ale też się bali, że jak elementowi pomogą, to tak samo jak ten element podejrzany skończyć mogą. To poszedłem z miejsca do dyrektora, a ten mi od razu, to się da załatwić, musisz tylko podpisać i deklarację wypełnić.

- I co pan zrobił? - Młody pytał, choć doskonale znał odpowiedź.
- W książce tego nie znalazłeś?
- Znalazłem.
- To po co mam do tego wracać?
- Reportaż będzie wtedy wiarygodniejszy.
- I tak nie uwierzą.

Młody od razu domyślił się, że z tego powodu we wsi i okolicy niejednokrotnie mu dokuczano, choć od proboszcza słyszał o staruszku same ciepłe słowa.

- Trzeba spróbować do skutku. W powstaniu też zdzierał pan siebie do skutku, jakby do krwi ostatniej.

- Cwany jesteś. - Młody przeczuwał, że skruszył opór starca, a może on właśnie na coś takiego czekał? - Powiedział, że jak podpiszę, i do tej ich partii wstąpię, ja, akowiec, to jeszcze dziś mogę wracać z rodziną do domu i roboty też nie stracę.

- To i z pracy też pana zwolnili?
- Takie były ich metody. Łamanie kręgosłupów etycznych.

O nic więcej młody nie spytał, a Antoni dodał tylko, że po tym wszystkim we wsi i gminie mu dokuczali, ale jak nastąpiła epoka gierkowska, to wszystko się uspokoiło. Dopiero później, jak już komunizm znikać zaczął z naszej rzeczywistości, zaczęli pojawiać się tacy, co w papierach różnych osób grzebali, do szargania życiorysów się zabierali, kłamali i preparowali bzdury zwąc je faktami. Nie było jak się bronić. A starczyło, wspominał staruszek, popatrzeć, jak we trójkę się od samego początku wspieraliśmy. Akowiec w jednym szeregu z chłopakiem od Berlinga, co to powstaniu ostatecznie nie pomógł, a jakby sztylet pod żebra wpakował, i od Andersa. Razem na spotkania kombatanckie jeździli, choć w mundurach łatwych do odróżnienia.

Tylko raz do roku, w okolicy pierwszego sierpnia, czuł się Antoni doskonale i godnie, kiedy ludzie władzy zapraszali na uroczystości, wręczali medale, dobre jedzenie przygotowywali, torby z upominkami podawali, dłonie przed fotografiami ściskali, wizerunek sobie poprawiając.

- Najgorsze – refleksyjnie podjął tuż przed odejściem młodego – że i to z wolną idzie w zapomnienie. W książkach już tylko będziecie o tym czytać.

- Nie rozumiem? - Młody udawał, bo doskonale rozumiał i zmianę w podejściu dostrzegął.

- Polityka zaczyna nami pomiatać.

Chłopak powstrzymał się od komentarza. Uznał, że nie jego rolą, no i wiek szczeniacki, by komentować rozgoryczenie – ból może? - starego wojaka. Zdecydował, że o wszystkim, o co nie miał odwagi Antoniego zapytać, napisze w artykule na podstawie dostępnej w bibliotekach literatury.

Tymczasem Leszcza z kumplami nadal roztrząsał przy kolejnej flaszy z piwem kwestię bohaterstwa Antoniego. Zastanawiał się, jak to możliwe, że nawet jego syn rodzony, z którym nieraz kielicha przewrócił, słowem o starym nie wspomniał?

- Bo też pojęcia o niczym nie miał – uświadomił nierozumiejących młodziak.

- Niepojęte.

- Pojęte, bo nigdy nie interesowały go losy ojca. Nakarmiony, odziany, w kasę zaopatrzony.....

- Jak moja córka – wtrącił Leszcza.

- A pan co o swoim ojcu wie?

- Ja? - Leszcza aż poczerwieniał z zaskoczenia. - Nic.

- Dlaczego?

- A kim on jest?

Młody z miejsca uznał, że nie warto ciągnąć tej rozmowy. Jednak Leszcza nie odpuszczał.

- Skoro jest, jak nasmarowałaś, to trzeba Antona konieczne do remizy, albo lepiej do szkoły, na jakieś zebranie zaprosić, niech się przed śmiercią wypowiedzi przed nami z tego, o czym nam nie opowiedział, co w życiu nawywijał.

- To nie jest dobry pomysł – powstrzymał zapal podchmielonego młody.

- A to czemu?

- Bo sprawy już tak daleko zaszły, że teraz to my, wy, ktokolwiek tego potrzebuje, powinniśmy udać się do niego i o pewne rzeczy zapytać.

- Ale jak?

- Normalnie. Z kwiatkiem, życzliwym słowem....., nie wiem.

I pozostawił pijących z problemem, sam udając się do domu, a właściwie do starego Antoniego, którego o parę spraw zamierzał jeszcze wypytać. Nuąc sobie po drodze pod nosem: „*Póki jeszcze pora, póki jeszcze czas....*“ .

Stanisław Szulist

Jenny

*„Słowa myślom dodają skrzydeł
i pozwalają frunąć poza granice wyobraźni”*

Autor

W bibliotecznej wypożyczalni Teofil Wrzos czuł się jak ryba w wodzie. Dwadzieścia tysięcy woluminów miał w jednym paluszku. Znał miejsce każdej książki, nie tylko po nazwisku autora i tytule, ale także po kolorze okładki, formacie książki, grubości woluminu - a także stopniu zaczytania. Jak większość mężczyzn był wzrokowcem i dzięki ponad trzydziestoletniej pracy w tym samym miejscu i na tym samym stanowisku ogarniał wszystko do cna, bez wyjątku.

Kiedy do wypożyczalni weszła Maria Zimochowa siedział zapatrzony w swój ulubiony klaser z seriami starych znaczków pocztowych i delektował się serią czesko-morawskich zamków z lat dwudziestych minionego wieku. To był jego najciekawszy nabytek jeszcze z okresu szkoły podstawowej, gdy korespondował z Jarcią Pliškową z Piska nad Otawą. Adres jej wypatrzył w muzycznym tygodniku „Radar”, w którym w latach sześćdziesiątych publikowano adresy wielu młodych ludzi niemal z całego świata wraz z opisem ich zainteresowań.

- Dzień dobry, panie Teofilu - zaczęła nieśmiało wychudzona, blisko siedemdziesięcioletnia, mocno siwiejąca brunetka w wielkich okularach.
- Z zainteresowaniem przeczytałam „Masława” i chciałabym teraz poprosić o „Braci Zmartwychwstańców” - dodała.

- Przeczytała już pani kilkanaście powieści Kraszewskiego. Jestem pod wrażeniem... Czy ten autor jeszcze się nie znudził? Może sięgnie pani po coś współczesnego np. „Kod Leonarda da Vinci” Dana Browna, albo „Święto kozła” - Mario Vargasa Llosa....

Pokręciła przecząco głową i powiedziała, że zanim zamknie oczy musi poznać dzieła Kraszewskiego, bo to obowiązek każdego Polaka patrioty, miłującego swój kraj oraz jego piękną i bogatą historię.

- To ma pani jeszcze sporo roboty, bo Józef Ignacy Kraszewski jest najpłodniejszym polskim pisarzem. Napisał ponad dwieście powieści.

W naszej bibliotece, mamy z jego dorobku zaledwie czterdzieści - odparł bibliotekarz udając się po „Braci Zmartwychwstańców”, powieść z czasów Bolesława Chrobrego, która już od wielu lat stała nienaruszona w trzecim rzędzie pod oknem, na czwartej od dołu półce.

Zimochowa spojrzała na biurko i zobaczyła otwarty klaser Teofila, a w nim znaczki pocztowe podobne do tych, które przez całe życie zbierał jej zmarły mąż Edward. Gdy bibliotekarz przyniósł zamówioną książkę zapytała:

- Nie wiedziałam, że zbiera pan znaczki. Mój Edward całe życie zajmował się filatelistyką, ale wszystko przepadło. Złodzieje dwukrotnie włamali się do naszego mieszkania i wykradli nam wszystkie zbiory - powiedziała Zimochowa.

- To draństwo - spojrzała na nią ze współczuciem. - Nic o tym nie słyszałem. I co? Złapali tych złodziei? - zapytał.

- Gdzie tam. Od śmierci męża minęły już 3 lata, a to było kilka lat wcześniej. Policja umorzyła śledztwo... Zostałam sama ze swoją nędzną emeryturą. Ledwie starcza mi na życie, nie mówiąc już o lekarstwach. Co mi zostało? Całymi dniami wysiaduję teraz na naszej małej działce za miastem. Pielę grządki i czytam - powiedziała Zimochowa i wyszła. Bibliotekarz zamknął swój klaser i zamyślił się głęboko. W tym czasie zabytkowy zegar z kukułką, wiszący w wypożyczalni nad zapomnianymi dziełami Lenina, wydzwonił południe, a kukułka wykukała dwunastą.

- Biedna kobieta. Chyba nie ma nic gorszego, niż samotność na starość - pomyślał, bo sam coś na ten temat wiedział.

Od śmierci jego ukochanej żony Anny upłynęło już 10 lat. Przez ten czas samotnie wychowywał syna. Na szczęście Paweł pomyślnie zdał maturę, a potem ukończył studia socjologiczne. Jednak po tych studiach trudno mu było znaleźć dobrze płatną pracę. Paweł próbował swoich sił w pracowni statystycznej, a potem w lokalnym dziennikarstwie, lecz nie był zadowolony ani z pracy, ani z zarobków. W końcu zdecydował się na kurs wózków widłowych i wraz ze swoją dziewczyną Martą postanowił wyjechać do pracy w Niemczech, gdzie w małym miasteczku Treuenbrietzen koło Poczdamu, zagwarantowano mu dobrze płatną pracę w tamtejszym Betonwerku oraz tanie, trzypokojowe mieszkanie. Ostatnia rozmowa z Pawłem mocno go poruszyła. Nie spodziewał się, że tak bardzo zabolą go słowa syna...

- Wyjeżdżam za granicę, bo nie chcę skończyć jak ty, tato - z pensją dwóch tysięcy złotych na miesiąc po 30 latach pracy i bez szans na awans lub podwyżkę.

Nawet działalność w „Solidarności” w niczym ci nie pomogła - zakpił Paweł z ojca stojąc z bagażem u drzwi.

- Lubię swoją pracę i cieszę się, że mogę żyć w wolnym kraju, może biednie, ale godnie. Pamiętaj, że tam mimo wyższego wykształcenia, będziesz musiał znosić fochy obcych ludzi i zawsze będziesz czuł się obco. Dla nich będziesz tylko pogardzanym Polaczkiem, który musi potulnie wykonywać polecenia. Synku, nie po to nasi ojcowie przelewali krew na wszystkich frontach świata, żeby teraz nasze dzieci tułały się po świecie za chlebem i harowały jak niewolnicy. Wracaj szybko. Tutaj jest twój dom i twoja ojczyzna - przekonywał syna podekscytowanym tonem Teofil.

- Tato, wyjeżdżam, bo w tym kraju nic mnie nie trzyma. A dla ciebie zawsze były ważniejsze twoje znaczkę, niż moje problemy - wygarnął syn. - Gdyby nasi ojcowie wiedzieli, że umierają za to, żeby Polska na pół wieku trafiła pod panowanie komunistycznej Rosji, to by nawet palca z okopu nie wystawili.

- Jak możesz? Zawsze z matką robiliśmy wszystko z myślą o tobie i dla ciebie - odparł i zamilkł, bo serce mocniej mu zabiło, zadrżały dłonie i poczuł jak zimny pot zrasza mu czoło. - Pawełku, życzę ci powodzenia. Zadzwoń jak dojedziesz na miejsce... - wyszeptał cicho drżącym głosem ściskając rękę syna na pożegnanie.

Od tej rozmowy minął rok. Telefon Pawła milczał. Teofil nie raz próbował dzwonić, ale bez powodzenia. Z tego powodu nie raz robił sobie wyrzuty, że może syna czymś uraził, że niepotrzebnie próbował go zatrzymać. Sprawa ta nie dawała mu spokoju. Źle sypiał i zamartwiał się losem Pawła, co skutkowało podkrążonymi oczyma i coraz większą siwizną rzadkich kosmków jego włosów, ale pracy nie zaniedbywał.

Nie upłynął tydzień a stara Zimochowa znowu odwiedziła bibliotekę przynosząc kolejną przeczytaną powieść Kraszewskiego. Teofil napisał datę zwrotu na karcie czytelnika i w metryczce książki. Jak zawsze zapytał czym może zadowolić niestrudzoną czytelniczkę cyklu „Dziejów Polski”.

- Zdaję się na pańskie doświadczenie. Zawsze potrafi pan dobrze doradzić...

Teofil podszedł do regału, spojrzął na półkę wypełnioną pozycjami ulubionego autora pani Marii i zapytał czy czytała „Stacha z Konar”.

- Jeszcze nie...

- To polecam, gdyż to ciekawa powieść z końca XII wieku o rywalizacji synów Bolesława Krzywoustego - Mieszka i Kazimierza. Jej głównym bohaterem jest

niesamowity człowiek, który służył na dworze księcia Kazimierza - dodał bibliotekarz.

- Zgoda, ale jeśli pan pozwoli, to zapytam o coś, że tak powiem, z innej beczki. Kilka dni temu, jak byłam w bibliotece, widziałam, że oglądał pan swój klaser ze znaczkami... Wczoraj robiąc porządki w domku na działce znalazłam stary klaser męża, o którym on chyba zapomniał, a ja nie wiedziałam, że coś takiego leży między starymi gazetami i skoroszytami. Chcę go panu pokazać - powiedziała Zimochowa.

Teofil wskazał krzesło starszej pani i poprosił o klaser. Z ciekawością przeglądał poszczególne strony albumu i od czasu do czasu komentował:

- Oo, stroje ludowe. Mam tę serię. Hm... piękna seria psów, owady, rośliny... O, proszę, pełna seria z okazji 550. rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Kiedyś, żeby ją zdobyć, musiałem się z kolegą wymienić za cykl Zamków Polskich, ale nie żałuję. No, cóż. To stary album ze znaczkami, jakich ludzie mają wiele. Ja także - dodał.

- Myślałam, że może uda mi się go panu sprzedać. Dla mnie każdy grosz się liczy....

- A ile pani spodziewa się zań uzyskać?

- Nie mam pojęcia... Może 500 zł?

- Nikt pani tyle nie da. Jakiś młody, początkujący filatelista, może da dwieście złotych. Dla mnie ten zbiór nie przedstawia takiej wartości, ale skoro pani miała nadzieję, iż ja się zdecyduję... No, nie wiem. Nie jestem zasobnym człowiekiem...

- Nic nie szkodzi. Pójdę na targowisko. Może chociaż na lekarstwa coś utarguję...

- Proszę jeszcze poczekać - odparł Teofil sięgając do kieszeni marynarki po portfel. Otworzył go, zajrzał do środka i zaczął pod nosem coś kalkulować.

- Pani Zimochowa, ze względu na nasze znajomości i tego Kraszewskiego, którego też uwielbiam, a do którego dopiero pani jako pierwsza zajrzała po wielu latach, dam pani 250 zł. Więcej nie mogę, bo nie mam...

- Zgoda, panie Teofilu. Dziękuję. Będę panu wdzięczna aż do śmierci. Niech panu za dobre serce Pan Bóg wynagrodzi. Nawet pan nie wie, ile to dla mnie znaczy - wykrzyknęła z radością Zimochowa, gotowa rzucić się Teofilowi na szyję.

- W porządku, pani Mario... Nie trzeba... Biorę ten album tylko dlatego, żeby pani pomóc - powiedział Teofil dyskretnie opędzając się od oznak wdzięczności

ze strony pani Marii, która uradowana,omalże nie wyfrunęła z biblioteki jak ptak uskrzydłona pomyslną dla niej transakcją.

Teofil schował klaser pod biurko i pomyślał o sobie, że jest starym durniem, który lituje się nad innymi, choć sam ma tyle, co brudu za paznokciami.

Wieczorem, siedząc przed telewizorem, jeszcze raz postanowił obejrzeć stary album Edwarda Zimocha, który zamiast na makulaturę, trafił przypadkiem w jego ręce. Cudów w nim nie było. Niekompletne serie, kancery, single... Gdyby pojechał z nim na giełdę filatelistyczną do Piotrkowa Trybunalskiego albo na Śląsk, może by jakoś odzyskał te pieniądze. Myśląc o starych znaczkach zapadł w drzemkę. Kiedy poderwał się na silniejszy dźwięk wyemitowany z telewizora, klaser spadł mu z kolan uderzając kantem sztywnej okładki o twardą podłogę. Teofil podniósł go i zmartwił się na widok rozklejającej się tylnej okładki.

- Lata robią swoje. Trzeba będzie to jakoś skleić - pomyślał i zaczął delikatnie odklejać odstający papier, żeby posmarować klejem większy kawałek papieru, aby lepiej i mocniej chwycił. Miał już zacząć smarować uszkodzony narożnik, kiedy zdziwiło go małe zgrubienie. *„Brzydko to wygląda. Nie można tego tak zostawić. Odkleję trochę większy kawałek i skleję to, jak należy“* - zreflektował się zdzierając dalej naklejony papier. Ku jego zdumieniu pod spodem dostrzegł małą, złożoną na pół niewielką karteczkę, w której natrafił na ukryty znaczek pocztowy. Sięgnął po lupę i zaczął dokładniej przyglądać się znalezisku.

- Tak, to znaczek amerykański... Jakiś samolot... Datownik: Brooklyn 21.10.1918. Na znaczku napis: Curtiss JN-4. Nic więcej nie widać - mamrotał sam do siebie, a następnie podniósł delikatnie znaczek plastikową pincetą i obejrzał go dokładnie pod światło przez lupę.

- Cały i zdrów - szepnął do siebie z zadowoleniem. - Ciekaw jestem, co to za znaczek? Dlaczego został tak sprytnie ukryty? - zastanawiał się a jego ekscytacja tym odkryciem sięgała zenitu.

Tej nocy Teofil Wrzos długo nie mógł zasnąć. Przewracał się w łóżku z boku na bok, a natrętne myśli kotłowały się w jego głowie niczym rozgrzane bryły smoły w kotle czarownic, spędzając sen z powiek niemal do rana.

Następnego dnia tryskał w pracy humorem, co szybko zauważyły koleżanki i dopytywały, czy czasem nie zakochał się, bo fiołki z jego wciąż podkrążonych oczu emanowały na odległość. Teofilowi do sześćdziesiątki brakowało jeszcze kilka wiosen, lecz jak na samotnego wdowca, trzymał się całkiem nieźle.

Mimo jako takiej ogłady, nie okazywał jednak aktywnego zainteresowania płcią odmienną, co nie tworzyło wokół niego aury przyciągającej barwne motyle, lecz raczej ćmy typu Zimochowa. Żeby odpędzić myśli demaskujące jego niepohamowaną radość wziął się za okładanie książek i szybko wrócił na codzienne tory bibliotecznej rzeczywistości. W tej monotonii wydedukował sobie, że powinien poznać prawdę o wartości tajemniczego znaczka. Za najlepszy sposób uznał wyjazd do Gdańska i wizytę w sklepie filatelistycznym na Piwnej, gdzie pracują eksperci filatelistyki. Postanowił, że w najbliższą sobotę tam się wybierze. Żeby nie wydało się, iż jestem posiadaczem ciekawego znaczka obmyślił plan, że o wyjaśnienie zagadki poprosił go kolega. Zamiast oryginału wziął ze sobą kserokopię znaczka. Jakość nie była nadzwyczajna, ale to, co trzeba, było na nim widoczne.

W sklepie filatelistycznym opowiedział skonfabulowaną historię a panowie zza lady po obejrzeniu dostarczonej przez Teofila kserokopii wyszli na zaplecze i dość długą chwilę dyskutowali ze sobą szybko przewracając kartkami katalogów. Po powrocie spojrzeli po sobie a potem, próbując ukryć swoje poruszenie, zaczęli wyjaśniać:

- Proszę pana, żeby obiektywnie ocenić wartość tego znaczka musielibyśmy obejrzeć oryginał. Najlepiej gdyby pański znajomy przybył tutaj osobiście i pokazał nam ten znaczek - powiedział straszny ekspedientów z bródką a drugi tylko kiwnięciem głowy potwierdził tę radę.

- Nie wiem, czy będzie to możliwe, bo mój znajomy jest bardzo nieufny. Dlatego właśnie mnie wybrał do tej szczególnej misji, uznając za osobę godną zaufania. Powiedzcie szczerze, co to za znaczek i jaką przedstawia wartość - naciskał Teofil Wrzos.

- Hm... - mruknął pod nosem ekspedient. - To Jenny, bardzo rzadki okaz. Jego wartość zależy od stanu, w jakim się znajduje. Nie można szacować wartości czegoś, czego nie widać gołym okiem. Ksero, to za mało. Każdy może odbić je z książki i robić sobie z nas żarty - odparł starszy jegomość zza lady.

- Wybaczcie panowie, to nie są żarty. Widziałem ten znaczek na własne oczy i zapewniam, że jest w bardzo dobrym stanie. Co mam powiedzieć właścicielowi znaczka? Ile może być wart? - zapytał bardziej stanowczo Wrzos.

- Ten znaczek może nie posiadać żadnej wartości, ale równie dobrze może być wart fortunę - powiedział starszy pan patrząc Wrzosowi prosto w oczy.

- Co znaczy, fortunę? Dziesięć, dwadzieścia tysięcy złotych? - dopytywał podekscytowany Teofil.

- Więcej...

- Pięćdziesiąt tysięcy? - zaryzykował, a widząc poprzeczne ruchy ich głów, wyszeptał ze zdziwieniem: - Sto?...

- Znacznie więcej... - odpowiedzieli chórem.

- Teraz to chyba panowie żartują... Ile razy więcej? - zapytał drżącym głosem. - Pół miliona złotych?

- Może nawet jeszcze raz tyle - odparł młodszy wiekiem, dając do zrozumienia ruchem głowy, że to bardzo poważna sprawa.

- To niewiarygodne... Milion?... Złotych?... - westchnął Teofil, zastaniając dłonią usta z wrażenia. Poczul też uderzenie ciepła od środka i drżenie nóg, jak przy pierwszym pocałunku dziewczyny.

- Nie złotych, lecz dolarów, szanowny panie. Jeśli to prawda, co pan mówi, niech pański znajomy przyjdzie i pokaże nam ten znaczek. Obejrzymy, oszacujemy a jak trzeba, pomożemy znaleźć wiarygodnego nabywcę. Zapewniam pana, że sprzedaż takiego waloru nie jest łatwa. Warto zaufać osobom, które na tym się znają - dodał starszy.

Wrzosowi z wrażenia zakręciło się w głowie i kiwając potakująco głową, wyszedł pośpiesznie ze sklepu nie słysząc już ostatnich słów eksperta filatelistyki. Szedł jak rażony prądem gnając bezmyślnie chwiejnym korkiem przed siebie. Ochłonął dopiero przed Targiem Węglowym. Zaczerpnął głębiej powietrza i pomyślał: *„Ależ jestem głupi, przecież teraz na pewno mnie śledzą.... Nie mogę od razu iść na kolejkę SKM i wracać do domu, bo wytropią mnie i okradną, jak Zimochów, a może nawet zamordują”*.

Doszedłszy do przystanku tramwajowego na Okopowej wsiadł w pierwszy lepszy tramwaj i pojechał nie myśląc nawet o tym dokąd jedzie. Wsiadł przy „zieleniaku“ i rozglądając się, czy czasem ktoś za nim nie idzie, wsiadł do autobusu i pojechał dalej. Usiadł tyłem, jak najbliżej kierowcy i zakonspirowanym wzrokiem przeczesywał wszystkich pasażerów patrząc, czy czasem ktoś zbytnio mu się nie przygląda. Wsiadł przy „manhatanie“ i upewniwszy się, że nikt za nim nie idzie, dotarł pieszo do przystanku SKM we Wrzeszczu i stamtąd wrócił kolejką do Wejherowa.

- Za dużo wrażeń, jak na jeden dzień - mówił w myślach do siebie wchodząc z przyspieszonym biciem serca po schodach na pierwsze piętro czteropiętrowego bloku na osiedlu Kaszubskim.

W łóżku najróżniejsze myśli kłębiły się w jego głowie. Wiedział, że tak misternie ukryty znaczek miał swoją wartość i jadąc do Gdańska spodziewał się usłyszeć pomyślnie wieści, ale w najśmielszych oczekiwaniach nie przypuszczał, że jego hobby otworzy mu drzwi do tak kolosalnej fortuny.

„Pawelku, gdzie jesteś? Odezwij się! Twój ojciec, którego potraktowałeś z taką pogardą, jest milionerem. Wracaj! Czekam na ciebie i modłę się o twój powrót do domu...” szeptał w modlitwie do Boga, aby spełnił jego błagania.

Sen jednak nie przychodził, bo Teofil zamiast oddać się w ramiona Morfeusza analizował dziesiątki sytuacji, jakie mogą nastąpić, gdy na jego konto wpłynę milion dolarów. W pierwszym zamyśle zamierzał połowę majątku przekazać synowi, aby ułożył sobie życie. Później jednak zwątpił, bo może młody zbyt lekką ręką przetrwoni pieniądze i będzie żądał od ojca kolejnych pieniędzy.

„Milion złotych na początek powinien Pawłowi wystarczyć. Niech kupi sobie dom, ładny samochód i otworzy działalność gospodarczą. Niech popracuje na swoją przyszłość. Teraz czas pomyśleć o sobie” - dumął na jawie przewracając się po raz kolejny na drugi bok i hamletyzował: *„Rzucić pracę i zacząć żyć z odsetek bankowych, bo na zakładanie firmy w tym wieku już za późno, czy lepiej żyć tak jak teraz, nie wzbudzając podejrzeń, a po cichu skubać z konta zastrzyki gotówki, by sprawiać sobie życiowe przyjemności. Byłoby pięknie, gdyby on - skromny bibliotekarz przyjechał do pracy furą za sto tysięcy złotych, kilka razy w roku pojechał na wycieczkę zagraniczną, a mieszkanie urządził jak Wersal. Dobrze byłoby mieć u swego boku piękną i młodą żonkę. No, choćby taką Basię Rudnicką z wypożyczalni dla dzieci (młodszą o niego o 15 lat singielkę, w której podkochuje się bez wzajemności!). Ciekawe jak teraz zareagowała by na moje umizgi, gdyby dowiedziała się że stary i biedny Teofil jest milionerem?”*

I tak dzieląc w marzeniach senny skórę na niedźwiedziu zapadł w sen...

Kolejne dni utrzymywały go w znakomitym nastroju, w poczuciu dumy z posiadania skarbu, wyższości nad otoczeniem, ale i obaw o możliwość utraty tak cennego znaczka. Wieczorami siadał przed telewizorem, otwierał klaser i przyglądał się przez lupę swojej Jenny, delektując się jej widokiem, jak pięknem kobiecego ciała. Na razie umieścił ją centralnie za paskiem folii na ostatniej stronie klaseru, ale cały czas dumiał, gdzie ją ukryć i jak zabezpieczyć, żeby nikt obcy nie mógł jej znaleźć i ukraść.

Obawy o utratę znaczka zaczęły przeradzać się w różne fobie. Wydawało mu się, że jest śledzony i ktoś chce włamać się do jego mieszkania. Zastanawiał się nawet nad wstawieniem krat w oknach i zainstalowaniem systemu alarmowego. Doszedł jednak do wniosku, że kraty mogą prowokować złodziei do włamania, a montowanie systemu alarmowego może wzbudzić podejrzenia nawet ze strony samych monterów. Dlatego też nawet dzwonek do drzwi nie zlecił do naprawy w obawie, że ktoś może go napaść i okraść.

Wszystko to nie dawało mu spokoju. Stawał się coraz bardziej spięty i nerwowy. Nawet w pracy dziwili się tym zmiennym nastrojom Teofila, że aż pewnego razu dyrektorka biblioteki, pani Urbanowicz, zaprosiła go do gabinetu i zapytała wprost, co z nim się dzieje.

Teofil tłumaczył, że martwi się losem syna, który już ponad rok temu wyjechał do Niemiec i nie daje znaku życia. Nie zna też jego adresu, a telefon nie odpowiada. Pani dyrektor zasugerowała, żeby wziął sobie kilka dni urlopu i wyjechał gdzieś na kilka dni, co Teofil z wiadomych powodów wykluczył definitywnie. W obawie o jego stan zdrowia szefowa nakazała mu wizytę u lekarza, na co przystał, by nie wzbudzać zbędnych podejrzeń.

Doktor Piotr Zieliński po zbadaniu w przychodni Wrzosa wypisał mu zwolnienie lekarskie na 10 dni i zaordynował liczne lekarstwa.

- Panie Wrzos, muszę z niepokojem zakomunikować, że ma pan zbyt wysokie ciśnienie: 190/110, podwyższone tętno a także kołatania serca. Szczególnie niepokoi mnie ciśnienie rozkurczowe. Przepisuję panu lekarstwa na uspokojenie i obniżenie ciśnienia oraz daję skierowanie na EKG i badanie krwi. Proszę przyjść do mnie z wynikami. Zalecam też panu więcej ruchu, a zwłaszcza spacerów - powiedział lekarz.

Teofil przestraszył się jeszcze bardziej i po powrocie do domu podjął zdecydowane kroki w celu ukrycia znaczka. Uznał bowiem, że jeśli wyląduje w szpitalu, jego skarb w domu nie będzie bezpieczny. A ze sprzedażą znaczka musi poczekać do powrotu Pawła, bo umowa o sprzedaży i sama transakcja, powinny odbyć się w obecności zaufanego świadka. Uznał, że może być nim tylko syn. Ostatecznie postanowił, iż znaczek schowa w bibliotece, w miejscu najbardziej bezpiecznym, najlepiej w grubej, nigdy nie czytanej księdze ze sztywną okładką. Miejsce jego ukrycia opisze w taki sposób, aby nie trafił on przypadkiem w niepowołane ręce...

Następnego dnia, kiedy idąc na badania zaniósł zwolnienie do pracy, wstąpił do wypożyczalni i ukrył znaczek w sobie tylko wiadomy sposób. Napisał również zakamuflowaną instrukcję, którą umieścił w zaklejonej kopercie i podpisał: „*Paweł Wrzos - do rąk własnych, na wypadek mojej śmierci*“. Kopertę przekazał dyrektorze biblioteki prosząc o dyskrecję, aby nikt z pracowników o tym nie wiedział.

- Ależ panie Teofilu, czyżby spisał pan już testament? Chyba nie ma jeszcze takiej potrzeby?... Przepraszam, że zapytam: czy ta koperta ma coś wspólnego z wizytą u lekarza? - zapytała dyrektor Urbanowicz.

- Nie - zapewnił kłamliwie Teofil.

- No, to dobrze, bo już się zmartwiłam. Niech pan szybko wraca do zdrowia - powiedziała dyrektor, a Teofil udał się do przychodni na badania lekarskie.

Przymusowy pobyt w domu nie służył mu najlepiej. Czuł narastające znużenie i zamęczenie oraz totalną obojętność na wszystko. Uważał, że to skutek leków uspokajających i obniżających ciśnienie, bo przyjmowane lekarstwa całkowicie pozbawiły go energii. W ciągu dnia przysypiał, a nocą miewał dziwne kolorowe sny, a czasem wręcz męczące koszmary. Kiedy odrywał się od czytania książek zastanawiał się, czy dobrze zrobił ufając dyrektorze biblioteki, bo może ona otworzy kopertę, rozszyfruje zapis i odnajdzie jego skarb? Podobnych podejrzeń miał więcej.

W ostatnim dniu zwolnienia lekarskiego, gdy zasnął w fotelu, śniło mu się, że ktoś dobija się do jego drzwi, a on chowa się panicznie przed bandytami w szafie ubraniowej, gdzie jest ciemno i duszno. Pukanie w drzwi nasilało się a on czuł, że oddycha mu się coraz trudniej... Kiedy postanowił wyjść z szafy nagle zabrakło mu powietrza, a ręka, którą chciał pchnąć przymknięte drzwi, osunęła się bezładnie. Przed oczyma ujrzął przyspieszony film z całego życia, a następnie długi tunel i przyjemne, ciepłe światło w obecności którego poczuł się uwolniony od wszelkich zmartwień i niepokojów...

Gdy Teofil Wrzos nie pojawił się w pracy po zwolnieniu lekarskim, dyrektor biblioteki pomyślała, że chyba poszedł do lekarza i dostał kolejne zwolnienie. Kiedy nie pojawił się następnego dnia, postanowiła do niego zadzwonić, ale telefon milczał. Na wszelki wypadek wysłała do jego domu Agatę Bąk - kadrową, aby dowiedziała się, co z nim się dzieje. Drzwi do domu Wrzosa były zamknięte i nikt nie reagował na pukanie, a dzwonek przy drzwiach po naciśnięciu nie dzwonił. Kadrowa zadzwoniła więc do sąsiadki.

- Pan Teofil ma zepsuty dzwonek. Pukałam do niego przedwczoraj dość długo, bo jakiś młody człowiek przywiózł dla niego list z Niemiec, chyba od syna. Wczoraj stukaliśmy do drzwi i dzisiaj, ale nie odpowiada. Może gdzieś wyjechał?

- To niemożliwe. Pan Wrzos miał zwolnienie lekarskie do przedwczoraj. Cały czas był w domu, a wczoraj powinien być w pracy... - powiedziała Agata Bąk i nagle obie zastygły w przerażeniu...

- O, Boże, coś mu musiało się stać! - wykrzyknęły niemal jednocześnie.

Przybyły na miejsce dzielnicowy nakazał administratorowi rozwiercić zamek i otworzyć mieszkanie. Po wejściu do pokoju ujrzano Teofila Wrzosa, jak siedział w swoim fotelu z głową ułożoną na ławie twarzą do otwartego klasera pocztowego. Wydawało się, że śpi. Jednak jego ciało zastygło w bezruchu i było zimne. Dzielnicowy zadzwonił po lekarza, aby potwierdził zgon.

- Panie dzielnicowy, ktoś przedwczoraj przyniósł list do pana Tracza od syna. Proszę... - powiedziała sąsiadka podając list.

Aspirant podszedł do okna i otworzył list, gdyż uznał, że może mieć coś wspólnego ze śmiercią denata.

„Tato, przyjeżdżam za dwa tygodnie. Wybacz, że tyle czasu nie dzwoniłem, ani nie pisałem. Wyobraź sobie, że znalazłem fajną pracę. Zarobiłem sporo kasy, ale musiałem na to ciężko pracować. Wracamy z Martą do kraju i zamierzamy się pobrać. Mój szef zakłada przedstawicielstwo swojej firmy w Wejherowie i mianował mnie jej kierownikiem. Będziemy znów razem. Do zobaczenia - Twój syn Paweł”.

- Ten list dotarł za późno - stwierdził dzielnicowy odkładając go na stół.

Gdy Paweł Wrzos powrócił z Niemiec do Wejherowa, minął już tydzień od pogrzebu ojca. Sąsiadka poinformowała go, że pogrzeb zorganizowała siostra Teofila - ciotka Gertruda z Pucka. Powiedziała mu, że wszyscy dziwili się, a nawet byli oburzeni tym, że Pawła nie było na pogrzebie.

Natychmiast pojechał do Pucka, żeby dowiedzieć jak to się stało i wytłumaczyć swoją nieobecność. Ciotka oddała mu klucze do mieszkania i długo płakała w jego ramionach.

- On tak cię kochał, a ty przez tyle czasu nie dałaś mu znaku życia - mówiła przez łzy ciotka Gertruda.

- Jak to? Niedawno napisałem do niego list, że wracam...

Następnego dnia Paweł udał się do biblioteki żeby odebrać dokumenty i rzeczy osobiste ojca. Dyrektor Maria Urbanowicz, gdy wychodził, wręczyła mu kopertę przekazaną jej w depozyt przez ojca i zapewniła, że zawsze ma otwarte drzwi do tej instytucji i może liczyć na jej wsparcie.

Paweł stworzył list dopiero w domu. Jego treść była tajemnicza i na pierwszy rzut oka niejasna.

*„Kiedy zejść z życiowej sceny szukaj The Inverted Jenny
Regał pod oknem górna półka, 12 razy kuka kukulka.
Ta latająca maszyna jest w jednym z dzieł ...
Zadzwoń pod tel. 58 301 30 17”*

- Nic nie rozumiem. Co, to wszystko znaczy? - zdziwił się Paweł.

Zadzwoił pod wskazany numer. Tam dowiedział się, że „The Inverted Jenny” to amerykański znaczek z 1918 roku przedstawiający samolot Curtiss JN-4, nazywany Odwróconą Jenny. Przez przypadek został wydrukowany odwrotnie, co drastycznie podbiło jego cenę. Do obecnych czasów zostało tylko 100 takich znaczków na całym świecie. Każdy wart jest około miliona dolarów zakładając, że jest w dobrym stanie. W Polsce znajduje się podobno tylko jeden egzemplarz.

- Przed miesiącem był u nas około 60-letni facet twierdząc, że posiada Odwróconą Jenny. Proponowaliśmy mu pomoc w sprzedaży tego znaczka pod warunkiem, że go przywiezie i pokaże. Pokazał nam tylko ksero. To za mało, żeby traktować tę informację poważnie. Może to był pański ojciec - usłyszał w słuchawce...

Henryk Polchowski

Ławka (*sluchowisko*)

Akt I

*(Dalekie odgłosy ruchu ulicznego, co jakiś czas w tle śpiew ptaków.
Przybliżające się kroki.)*

KOBIETA I: - Nie przeszkadzam?

KOBIETA II: - Nie, właśnie miałam zamiar kończyć; niestety, wzrok już nie ten. Proszę usiąść!

KOBIETA I: - Dziękuję! Rzadko tu zachodzę, ale za każdym razem widzę panią, zawsze na tej samej ławce i zawsze coś czytającą; chyba jako jedyna w tym parku. Nic dziwnego, że rzuca się pani w oczy! (*cichy śmiech*)

KOBIETA II: - Poważnie? Tak jakoś wyszło, że przeniosłam swoje lektury właśnie tutaj. W parku, zwłaszcza przed południem, jest spokojnie, cicho... tak, przychodzę tu, odkąd nie ma już mojego Piotra... po prostu wolę tu, niż tkwić sama w czterech ścianach (*chwila ciszy*). Mówi pani, że tylko ja tu czytam?... To możliwe. Ludzie teraz przedkładają ruchome obrazki nad słowo drukowane; mózg łatwiej wchłania obraz uzupełniony dźwiękiem, bo to już gotowa łatwostrawna papka, taka, jak ta, dla niemowlaka. A litery, proszę panią, to rodzaj szyfru, którego przemiana w obrazy wymaga od mózgu większego wysiłku; książka jest jak smaczkowita pieczeń, aby jej skosztować, niezbędne jest użycie sztuczków - naszej wyobraźni. Przepraszam, jeśli za bardzo teoretyzuje...

KOBIETA I: - Nie, to było, właśnie, obrazowe... A co pani, używając języka kulinarnego, teraz trawi... można?

KOBIETA II: - Oczywiście, proszę!

KOBIETA I: - A, „Doktor Żywago”! (*szelest przewracanych kartek*). Kiedyś nawet wypożyczyłam ją w naszej bibliotece. Utknęłam gdzieś w połowie, pani wie, jak to jest: mąż, dziecko... Później w telewizji dali film. Doktora zagrał ten egipski przystojniak, jak mu tam... o, wiem – Omar Sharif! A jak się zna już całą fabułę, to wtedy trudno wrócić do książki. Po jakimś czasie przysłano mi upomnienie, więc odniosłam niedoczytaną. A teraz już od paru lat mieszkamy na Sikorskiego, a to, sama pani wie, kawałek drogi do Kaszubskiej.

KOBIETA II: - No tak, trochę tego będzie, ale pani ma jeszcze młode, zdrowe nogi, dla pani to spacerek, bo w moich latach, niestety...

KOBIETA I: - Oj, przesadza pani z tymi latami!

KOBIETA II: - Ani trochę... o, właśnie! Lubi pani zgadywanki?

KOBIETA I: - Takie z nagrodami, to i owszem.

KOBIETA II: - Kolejna młoda materialistka!... muszę panią zmartwić: nagrody nie będzie, no chyba, że zadowolony się pochwałą starszej pani, zgoda?

KOBIETA I: - Jak brzmi pytanie?

KOBIETA II: - Pani sama je... „sprokurowała”, twierdząc, że przesadzam.

KOBIETA I: - A tak, chodziło o pani wiek... ale ja nawet w lotto nie gram na chybił-trafił; może więc jakaś dodatkowa informacja, takie koło ratunkowe jak w „Milionerach”

KOBIETA II: (*po chwili namysłu*) - Mówiliśmy o czytaniu książek, więc pozostanmy w tej kategorii, jakby to określił prowadzący ten teleturniej. Podpowiedź brzmi: mam tyle samo lat, co wejherowska biblioteka (*śmieje się*). Przyda się to koło ratunkowe?

KOBIETA I: - Tak... farciara jestem!

KOBIETA II: - Bo...

KOBIETA I: - Bo do sklepu, gdzie robię poranne zakupy, co piątek ktoś przynosi stos bezpłatnej tygodniówki. Czasem biorę egzemplarz do domu. Właśnie w ostatnim numerze zauważyłam artykuł o jubileuszu naszej biblioteki miejskiej. Naprawdę, nie wygląda pani na siedemdziesiątkę!

KOBIETA II: (*wesoło*) - Brawo... no i dziękuję za niezasłużony komplement (*na ostatnie słowa nakłada się melodyjka z komórki*).

KOBIETA I: - Przepraszam, to mąż (*oddala się, głos odpowiadający dzwoniącemu staje się ledwie słyszalny; kończy szybko rozmowę frazą - głośniejąco*): Tak kochanie, koło Wenty na Wejhera... Bardzo, naprawdę bardzo mi przykro, ale muszę już lecieć, umówiłam się z mężem na zakupy, chce mieć nowy garnitur. Wie pani, Andrzej, to znaczy mój mąż, nie lubi, jak dzwonię do niego, do gabinetu, więc czekałam, aż on zadzwoni... no i... Miło mi było panią poznać, przepraszam, nawet się nie przedstawiłam: Iwona!

KOBIETA II: - Maria.

IWONA: - Mam nadzieję, że jeszcze tu kiedyś się spotkamy.

MARIA: - Jeśli Bóg pozwoli... w każdym bądź razie ławki nie zmieniam.

Akt II

(W tle stłumione odgłosy miejskiego ruchu, przerywany niekiedy krakaniem stadka wron.)

IWONA: - No i mamy jesień! Ile to, tak, prawie dwa miesiące minęły od naszego spotkania... nie zimno pani?

MARIA: - Nie, jestem doświadczonym czytelnikiem plenerowym, potrafię się zabezpieczyć: metoda „na cebulkę” jest najskuteczniejsza. A pani dziś, jak przedtem, zakupy z mężem?

IWONA: - Nie, trochę się przez ten czas pozmieniało... ale co moje prywatne sprawy mogłyby...

MARIA: - Wysłuchać, to prawie jak pomóc... nie wiem, czy trafne, ale własne. Twój wybór, Iwonko, jeśli tak mogę się do pani zwracać...

IWONA: - Nawet bym wołała, żeby mi pani tak mówiła, to paniowanie, kiedy jest pani w wieku mojej mamy, trochę mnie krępuje... i proszę nie protestować, gdy ja będę zwracała się do pani tak jak dotychczas. A jeśli chodzi o te moje prywatne (*zawiesiła głos*)... to po raz pierwszy od urodzenia Maćka, postawiłam się mężowi. Andrzej wraca zwykle późno, je lub nie obiad, włącza telewizor na te swoje sportowe kanały - i tak kończy się nasze codzienne życie rodzinne. Gdy chciałam obejrzeć jakiś film, wtedy „łaskawie” zapraszał mnie do wspólnego oglądania sportu. Tak, jego zdaniem, wygląda kompromis. W końcu nie wytrzymałam. Miałam trochę oszczędności. Kupiłam telewizor, przedłużyłam kablówkę do swojego pokoju... i rozpętało się piekło. Nawet nie poszło o ten akt „usamodzielnienia się”, ale o to, skąd miałam na to pieniądze, skoro ja nie pracuję. Przestał się do mnie odzywać. Zresztą z tą telewizją to był niewypał, bo okazuje się, że wieczorami nic tam nie ma godnego uwagi. Siedzieć beczynn timer w swoim pokoju też trudno, poszłam więc w końcu do biblioteki. Teraz odrabiam wieloletnie zaległości lekturowe. To też go wkurza. Słyszę, jak mówi do Maćka: Idź z tym do swojej matki – intelektualistki, ona ci wytłumaczy... i tak, w tym stylu, niemal każdego dnia... przepraszam panią, pani Mario, że odprawiam tu swoje „gorzkie żale”...

MARIA: - Daj spokój, Iwonko! Może nie powinnam tak mówić, ale sprawia mi... radość, że ktoś dzieli się ze mną tym, co leży mu na sercu, bo to dowód zaufania. I jeszcze jedno: tylko za komuny, pół wieku temu, w epoce towarzysza Wiesława,

określenia „inteligent” czy też „intelektualista” były negatywnymi epitetami. Te czasy minęły bezpowrotnie, więc możesz poczytać to za powód do dumy, jeśli tak ktoś o tobie mówi, bez względu na kontekst.

IWONA: - Dziękuję, że...

MARIA: - Daj spokój... Zmieńmy lepiej temat. Mówiłaś, że wróciłaś do książek.

IWONA: - Raczej, to one wróciły do mnie. Po piętnastu latach. Od kiedy wyszłam za Andrzeja i wyprowadziłam się z domu rodziców, jedynymi u nas książkami były podręczniki medyczne z okresu studiów męża. Przeprosiłam się z biblioteką i czytam w wolnych chwilach, zwłaszcza wtedy, gdy jestem sama w mieszkaniu...

(Zbliżające się kroki 2 strażników miejskich.)

STRAŻNIK I: - Dzień dobry. Nie zauważyły panie gościa średniego wzrostu i wieku w zielonej kurtce z napisem: „Kocham Prezesa”?

IWONA: - Nie, ale ja tu...

MARIA: - A o co chodzi?

STRAŻNIK II: - Facet ostatnio zbyt często kręci się przy placu zabaw, gdzie są małe dzieci. Matki czy opiekunki, jak to kobiety, czasem wdają się w gorące dyskusje i wtedy mniej są, powiedzmy, czujne...

STRAŻNIK I: - Otóż to! Więc gdyby panie coś zauważyły, to proszę na nasz numer alarmowy... Aha! Muszę powiedzieć, że martwiliśmy się, gdy jakiś czas na tej ławce nie widzieliśmy naszej parkowej czytelniczki, przepraszam, ale tak panią między sobą nazywamy. Człowiek się przyzwyczaja... miłego wypoczynku!

(odgłos kroków zanika)

IWONA: - A mówiłam, że rzuca się pani, pani Mario, w oczy!

MARIA: - Ot i paradoks! W młodości, gdy zależało mi na tym, by ten ktoś zwrócił na mnie uwagę, musiałam dołożyć niemałych starań... a popatrz, na stare lata, wystarczy, że trochę posiedzę na ławce z książką, a tacy młodzi, dobrze zbudowani faceci, między sobą o mnie rozmawiają, ba, zamartwiają się, gdy mnie nie widzą... żyć nie umierać! (*śmiech*). Oto magia książki! Odkąd skończyłam szkolną harówkę, wbijając młodym w głowę, że Adam Mickiewicz wielkim poetą był, a dziesięć lat już jestem na emeryturze, prawie się nie rozstaję z książkami. One są moim światem. Może, gdyby żył mój Piotr... a tak, przyprowadzam z biblioteki do domu moich książkowych przyjaciół, potem wędruję wraz z nimi w czasie i przestrzeni, cieszę

się ich sukcesami, martwią mnie ich kłopoty; ich życie jest barwniejsze, intensywniejsze od mojej codzienności. Parę dni temu Dominika wróciła późno z uczelni a ja zupełnie, muszę przyznać, straciłam poczucie upływu czasu, nawet nie obrałam ziemniaków; nie wiem, która z nas była bardziej zaskoczona sytuacją. Choć, mówiąc szczerze, wykreowane przez taką choćby Jane Austen życie córek państwa Bennetów jest bardziej realne, w moim odczuciu, od życia mojej rzadko obecnej wnuczki! Może od mojego także... I ta przygnębiająca monotonia świata, mój trójkąt bermudzki, którego wierzchołkami są: biblioteka – dom – park... a w jego środku pustka, nic...

IWONA: - Pani Mario, źle się pani czuje?

MARIA: - Nic, nic... zaraz mi przejdzie...

IWONA: - No, nie jestem tego taka pewna, bardzo pani poczerwieniała na twarzy!

MARIA: - Trochę ostatnio chorowałam, zapisano mi nowe leki, może mój organizm jeszcze się do nich nie przyzwyczyił, ale już jest lepiej, nawet dziś mogłam przyjść na moją ławeczkę...

IWONA: - Daleko ma pani do domu?

MARIA: - Nie, dosłownie parę kroków od parku. Mówiłam, że mam u córki swój pokój? Moja córka z mężem chyba już na stałe w Niemczech, dzielę mieszkanie z wnuczką, Dominiką. Dziewczyna chyba za rok kończy studia. Nie wiem, jak dalek potoczy się nasze życie?

IWONA: - Pani Mario, mam propozycję... widzę, że ma pani komórkę, można na chwilę? Dziękuję! Do kontaktów wklepię pani mój numer (*dźwięk klawiszy*). Gotowe! Do południa mam luz, więc gdyby przyszła pani ochota na małą pogawędkę czy też trzeba było w czymś pomóc, to, jak kiedyś się mówiło: „jestem do pani dyspozycji”. Wystarczy wyszukać: „IWONA Z LAWKI” i wcisnąć klawisz z zieloną słuchawką. Proste? (*głośniejszy sygnał przejeżdżającego niedaleko pogotowia lub wozu policyjnego*)

MARIA: - Proste! Szkoda, że nasze życie takie nie jest...

IWONA: - No, nie wiem...

Akt III

(*Powtarzające się dźwięki telefonu.*)

IWONA: - Tak, słucham! (*pauza*) No, słucham!

GŁOS W SŁUCHAWCE: - Przepraszam, pani Iwona?

IWONA: - Tak.

GŁOS W SŁUCHAWCE: - Dominika. Znalazłam ten kontakt w komórce babci.

IWONA: - Nie bardzo rozumiem...

GŁOS W SŁUCHAWCE: - Pani jest tą Iwoną... z ławki w parku?

IWONA: - Tak... a pani jest... o Boże, coś się stało pani Marii?!

GŁOS W SŁUCHAWCE: - Kilka dni temu miała udar mózgu. Teraz już jest lepiej... przepraszam, że zawracam pani głowę... właśnie jestem u niej i nie bardzo wiem...

IWONA: - Proszę mi powiedzieć, na jakim oddziale leży pani Maria?

GŁOS W SŁUCHAWCE: - Na neurologii.

IWONA: - Tylko się przebiorę i jadę!

GŁOS W SŁUCHAWCE: - Dziękuję.

Akt IV

(Szpitalny korytarz, ciche odgłosy aparatury medycznej, dochodzące z pobliskiej sali.)

IWONA: - Od razu wiedziałam, że to pani! Uderzające podobieństwo!

DOMINIKA: - Każdy, kto widział mnie z babcią, mi to mówi. Dominika Hildebrandt.

IWONA: - Iwona Ozowska, co z panią Marią?

DOMINIKA: - Wysłałam od niej przed momentem, bo zasnęła. Babcia trzy dni temu miała udar mózgu z rozległym wylewem; straż miejska znalazła ją na ławce w parku; mało, naprawdę mało brakowało... Teraz już, powiedzmy, lepiej; ma niewładną prawą stronę i nie może mówić. Dobrze, że mama przyjechała z Hamburga, bo babcię chcą wkrótce wypisać ze szpitala. Ordynator powiedział, że stan jej jest stabilny. Nie wiedziałam co dalej. Początkowo miało to być coś na kształt hospicjum, ale Mama załatwiła już stałą opiekunkę na dzień w domu, taki specjalistyczny wózek i... ale ja nie o tym... Babcia próbowała mi coś przekazać już wczoraj. Gdy zadzwoniła do mnie mama, babcia ręką pokazała na komórkę. Skończyłam rozmowę, ale ona nie przestawała... Po powrocie do domu pomyślałam, że babci może chodziło o jej telefon. Przyniosłam go dzisiaj do szpitala, od razu wyciągnęła po niego rękę. Wybrała listę kontaktów, ale komórka wypadła jej dłoni; wzięłam ją od niej, przybliżyłam do jej twarzy zaczęłam i wolno przesuwając...

IWONA: - Rozumiem! W czasie ostatniego naszego spotkania deklarowałam pani Marii pomoc. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że może coś takiego...

DOMINIKA: - Wszystko przez te cholerne książki! Prosiłyśmy z mamą, żeby bardziej dbała o siebie, bo często miewała silne bóle głowy i kłopoty ze wzrokiem, ale wtedy wkładała książkę do torby i wychodziła z domu. Kiedyś poszłam za nią. Znalazła sobie azyl na ławce w odludnym zakątku parku. Często zapominała o naszym istnieniu, słyszałyśmy, jak chodzi po swoim pokoju i coś mówi. Gdy mama przenosiła się do taty, do Hamburga, to ona zdobyła się tylko na machnięcie dłonią, które bardziej przypominało opędzanie się przed natrętnym owadem, niż gest pożegnalny. Nawet nie oderwała wzroku od książki. Mama miała łzy w oczach, gdy wyszliśmy z domu. Jak może książka, taka martwa papierowa cegła, być ważniejsza od człowieka!

IWONA: - Pani Dominiko, książka nie jest niczym wrogiem. Sama w sobie jest neutralna. To czytelnik dokonuje wyboru, czy traktować ją, jak każdą inną rzecz w domu, czy może jako coś bardziej szczególnego: rozrywkę, inspirację, pomoc w rozwiązywaniu życiowych problemów. Źle, gdy fikcyjny świat książek staje się dla czytającego alternatywnym bytem. Mogę o coś prosić?

DOMINIKA: - Tak...?

IWONA: - Jak babcia się obudzi, proszę powiedzieć, że była „Iwona z ławki”. A gdy pani Maria już wróci do domu, proszę nie mieć żadnych skrupułów i zadzwonić. Mam często trochę wolnego czasu, zawsze mogę w czymś pomóc...

Akt V

(W tle ciche odgłosy miejskiego ruchu. Na pierwszym planie szmer kół inwalidzkiego wózka.)

IWONA: - Proszę włożyć rękę pod koc, dzisiaj jest dość zimno, a pani pierwszy raz na świeżym powietrzu. Prawda, jak tu ładnie! Lubię nasz park jesienią: te odcienie brązu i złota, szelest liści pod stopami. O, jest i pani ławeczka! Posiedzimy chwileczkę; i jak obiecałam Dominice: za każdym razem nie więcej niż dziesięć stron. Mam „Dom z papieru” Domingueza, zapewne pani to kiedyś czytała... mogłam to sprawdzić w bibliotece, ale gdyby nawet, to sądzę, że warto przypomnieć...

I jeszcze coś, zanim już zacznę... muszę przyznać, że dobrze mieć taką ławkę w parku, ale, pani Mario, tylko jako miejsce odpoczynku, refleksji, a nie jako ucieczkę od innych... proszę mi uwierzyć...

Jerzy Piotr Kozerski

Tryptyk o całopaleniu

Spalisz encyklopedię - informacje nie znikną.

Tyle, że ich nie przeczytasz.

Stephen Hawking

I

Czego się boisz?
słów? idei? myśli?
Mów, inkwizytorze dwudziestego wieku
zanim pochodnią płonąca ciśniesz!
Mów, złotowłosa nadczłowieku!
Sypie się popiół strona za stroną,
grzbiety pękają w ostatniej katuszy
ty - głupcze - stoisz z twarzą osmoloną
nieświadom, że w księgach nieśmiertelna dusza.
Nie całe spłoną.
Przejdą bramą w czasie,
dymem, popiołem, nawet iskrą jedną!
o tobie pamięć - żeś ty palił.
One - choć spłonęły - pamięć mają wieczną.

II

Nie płacz po mnie, Aleksandrio
łzy tych pożarów nie zgaszą -
Ja przetrwam w legendzie. Nieśmiertelną
bramą w czasie.
W legendach człowiek będzie
szukać światów, co były przed nami,
prawd dawno odkrytych. Choć tu popiołami
są - słowa słowami przekażą
to, co w zwojach było spisane
i co tajemnicą zostanie, jak
trwałość piramid,

jak oczu Sfinksa zaduma,
jak moc miłości Izydy
jak świetność, jak po niej
śmierć Atlantydy.

Tych prawd wciąż szukać będziesz,
ty, coś jest wiedzy spragniony.
Tam drugi - już wznosi stosy.
Kolejny... raj... Utracony...

III

„Nazwałem cię Dziesiątą Muzą
piękna Safono fiołkowowłosa...
Miłość w twych wierszach jak zapach róży,
jak blask księżycy, jak pieśń radosna...
W strofach kochaniem lśniły Plejady
morze pieściło słowa uniesień...”

„Lecz cóż po wierszach w chwili zagłady?
Ty - żeś szczęśliwym jest, Sokratesie.
Wzgardziwszy - słusznie - słowem pisanym
przetrwaleś. Płomień cię nie zniszczył,
twoje myśli idą przez tysiąclecia,
a po mych pieśniach? Nic, wszystko zgliszcza!”
„Takie, Safono są Ziemi losy...”

Chcesz szukać dobra w człowieczej masie
gdy tam stoją ci, co wzniesają stosy?
Lecz my niezmiennie, tu, na Parnasie.
I twoje pieśni i moje słowa
przetrwają, chociaż nic się nie zmienia,
chociaż na Ziemi ciągle od nowa
mędrcom - cykuta. Pieśniom - płomienie.”

Bogna Zubrzycka

Obrazoburczy Obraz Matki

obraziłem się kiedyś na wszechświat,
że mi nie odpowiada
że się skubany obraził
że, jak mówią młodzi, się na mnie wypiął
obraziłem się niedawno na świat,
że mi konflikty, wojny i problemy
stawia przed nosem
a ja kocham proste rozwiązania
gotowe odpowiedzi i zupki instant
że lubię sobie coś poczytać
i że nienawidzę ludzi wmawiających innym
coś o połączeniu czasu, bram i słów
bez pokrycia
obraziłem się na siebie
wziąłem żyletkę i schluss
ciach, prach i bum!
Amen w pacierzu
Amen
Matko
Amen

*****(spacja)*****

Biblioteka jest bramą w czasie,
jest wyrwą sprawdzającą się podczas
lekcji Języka Polskiego.

(spacja)

Drogie dzieci!
Grecy kochali biblioteki,
podobnie jak Rzymianie
Drogie dzieci!

(oddech)

A średniowiecze?
Oprócz dżumy, kochane dzieci!
mieli tam pełno roboty w bibliotece
pisali, pisali i jeszcze raz pisali
bo nie mieli smartfonów
i smart pomysłów na życie

(twitter)

był jeszcze Hitler, mądre polskie dzieci!
ale ten książek nienawidził i bibliotekarek również
więc palił książki, bibliotekarki i biblioteki
Polaków, Żydów i Polaków

(spacja)

Drogie dzieci!
Biblioteka jest bramą, która daje początek
Drogie dzieci!
Koniec musicie napisać same
i musi być to

(happy end)

Tomasz Albecki

Styl pisania

Piękny styl pisania ukryty jest
gdzieś pomiędzy epitetem, metaforą a apostazją.

Człowiek czerpie natchnienie z głębi siebie
wypuszczając mydlane bańki marzeń i
niespełnionych ludzkich chuci

Piękny styl pisania nie sprawdza się jednak
w dzisiejszych czasach
podobnie jak biblioteki
nowoczesne - pachnące wybornym lakierem i szumiące
książkami elektronicznymi
pdf, mobi, epub, pdf ...

Dzisiaj szanuje się tych, którzy
ostrą kurwą tną gardła przeciwników,
ciętym językiem liżąc powstałą kałużę
zranionych uczuć i czasu przeszłego
Perfect.

Tomasz Albecki

pasja

...a kiedy znów chowam się
między poczytałkami
uśmiecham się jak dawniej
jak po kostce czekolady
zbawienne ukojenie...

zapachniała łąka
po której biegałam boso
tam rozpoznaję siebie...
tam rodzi się lepszy dzień
obsesja nadziei...

strona po stronie
odczytuję milczeniem
oblaskawiam świat
tu mogę do granic
być sobą
w niemym wyznaniu...

Bogumiła Mielewczyk

brama

w świecie absolutnego spokoju
odszyfrowuję niejedną historię
ślady życia zachowane
na szaro-żółtym papierze
chwytam nitkę nieskończoności
kontury świata zewnętrznego
stają się niewyraźne
a moje zmysły
otwierają się
cicho... cichuteńko...
słyszać tylko aksamitne młaśnięcia
niech nie budzi się rozum
w teatrze cieni
poszukuję błękitu pragnienia
szukam nieba...
niech jak najdłużej działa czar
jeszcze żywa
brama krzyku
świat myśli zapisanych

Bogumiła Mielewczyk

zaczarowany ogród

gdy konstanssem mojego życia
staje się wtaczanie głązu
pod górę
pod górę
i ciągle wyżej
i tylko ciężej...
kiedy słowa spływają łzami na parapet
co jarzy się halitami
przechodzę przez drzwi w sercu
przekraczam bezpieczny próg
kolebki najwspanialszych pereł
gdzie każda kartka
wypieszczona dotykiem pióra
co niebem nęci
(...a papier przesiąknięty...)
wpadam w święty obłąd
zatracam w głodzie jasności
co wciąż wyrывa mnie z umierania
(...znowu wszystko tysiącem odcieni się mieni...)
i gdy znów wrócę
z mych poplątanych ścieżek
niech po raz kolejny
stopi tęsknotę złotymi promieniami
poezji i dobroci
dom z papieru
mój własny ogród zaczarowany...

Bogumiła Mielewczyk

**70 rocznica
Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie**

PEAN JUBILEUSZOWY

*Założyć bibliotekę,
To jak stworzyć życie.*

- C. M. Dominguez

Obwieszczam Wam, chociaż już Wiecie,
Bo o tym jest głośno w powiecie,
Że Biblioteka Wejherowska
Święci Siedemdziesięciolecie.

Kolekcja jej zbiorów liczna
W systemach bibliologiczna
I z gruntu apolityczna
Gdyż jawnie i stricto publiczna.

Wypełnia rolę służebną,
Tak wobec, jak i wszem potrzebną,
Aż miny konkurentom rzedną,
Nad mądrą jej książką niejedną.

Prababcie tu władzę brały,
I babcie po mądrość sięgały,
Gdy w szkołach się edukowały,
I teraz, chociaż posiwiały.

Także synowie i wnuki
Wgłębiają się w jej logo-druki
Wynosząc mądre nauki,
Z współczesnych zasobów sztuki.

Niech wiedzą Wsze pokolenia,
Że ranga jej się nie zmienia
Bo trwa jak opoka z kamienia
Gdy zadań ma moc do spełnienia.

A teraz, jak Państwo wiecie
Święci Siedemdziesięciolecie,
Co jest wydarzeniem stulecia,
Uznany nie tylko w Powiecie.

Bo wielce jest zasłużona
W szeregu służebnic grona,
Bo świeci jej Nimbu Korona,
Gdyż wiedzę wciąż wnosi ona.

Więc życzymy jej, Przyjaciele,
Owocnych i długich lat wiele,
I moc sukcesów niech się ściela
Z Patronem Majkowskim na czele.

Edyta Wysocka

Dobra książka

„... jak wielki otwarty mózg...”

C.M. Dominguez

Czyste srebro na żywych dłoniach
Gdy w roziskrzeniu ludzkiego umysłu
Ubogaca duchowe zasoby wiedzy

Jest źrenicą pokoju i dobra
Błękitem świątyni
Niebiańską Madonną
W całym swym jestestwie
W niej spowiedź serca
Grzechów obmycie
Hymn zachwycenia
Niczym w pieśniach Dawida

I zwyczajną ucieczką
Gdy o każdej porze
Płaczu smutku milczenia
Otwiera i zamyka
Człowieczy alfabet życia
Gdy światło zawodzi
Pomiędzy Bogiem a Ziemią
Gdy szept modlitewny
I przysypanie kwiatów katafalku

Bo w niej tkwi piękno
Wyjęte z głębi duszy
Człowieka

Edyta Wysocka

Pieśń od Norwida

*„...Gdybyś tak skrobnał muzykę do wierszy Norwida
„Bema pamięci żałobny rapsod“, to byłoby coś...”*

**(słowa Wojciecha Młynarskiego
do Czesława Niemena)**

I nią się stała. Pieśń.
„... Cała piękna. I nie ma w niej skazy.”
Sulfamitka naszych czasów.
W sferze wyższej. Ponad inne.
Gra dźwiękami czystszyimi od łez.
Jakby utkała ja wieczność.
Otwiera umysły i osacza.
Aż by się można w nią zapaść.
Gdzieżby do niej pseudiliryka,
lekka, łatwa i przyjemna,
od celebrytów z łańcuchem
i kością w nosie.

Ech, łąza się w oku kręci,
gdy *„przez ciemność burzy, przez grom
i przez świtanie“* - obcować z nią.

Jak w obrazach fowistów, ekspresjonistów...
Jak w nadziejskim skonstrastowaniu dźwięków i tonów.
To chorał gregoriański,
który wybrzmiewa monumentalnie,
wierszem i głosem.

Obaj byli zamknięci (Norwid, Niemen),
dumni, wielcy, ponadczasowi...
Zagubieni w chaosie kryzysu czasów.
Bez miłości, zdrowia, finansów, autorytetu...
Lecz wszystko „tak pięknie trzymali“.

Ech to były czasy.
Dziś jeszcze płyta (moja), zdarta od słuchania.
I książka, która wciąż nieoddana -
„Norwid - Dzieła wszystkie“ wyd. TN KUL.
Kiedy ja zwrócę do KSIĄŻNICY WIEDZY...?
Nie wiem? Bo tak mi bliska, że
*(...) jest mi trudniej pozbyć się jej,
niż zdobyć nową... (cytat z C.M. Dominqueza)*

PS. Dzisiaj Sylwester 2015. Biegam pilotem.
TVP Historia. „Sen o Warszawie“.
I pieśń „Czemu cieniu odjeżdżasz...“
Ach ta poezja w śpiewie. Ten Norwid.

Edyta Wysocka

Upiór

Było ich dwoje. Ona i on. Zakochani w książkach artyści, patrzący na świat szeroko. Widzieli szerzej, bo spoglądali nie przez telefony, a spomiędzy bibliotecznych regałów. Spoglądali szerzej i zobaczyli siebie. Spotkali się w bibliotece. Widywali się w bibliotece. Śmiali się w bibliotece. Potem był już tylko koniec.

* * *

Gdy się poznali, ona miała piętnaście lat i siedziała, jak co dzień po szkole, w kącie czytelnicy ze starym wydaniem „Cierpień młodego Wertera” w ręku. Urzekła go, jak potem opowiadał, skupieniem na twarzy. Jej zaniedbane włosy z rozdwojonymi końcówkami, opadały na stronicę. Dawało to wrażenie, jakby książka dosłownie ją wciągała. On, wtedy siedemnastoletni, nieśmiało usiadł na krześle obok niej. Nic nie powiedział, tylko wyciągnął „Fausta” i zagłębił się w lekturze. Oboje co jakiś czas spoglądali na siebie ukradkiem. Uśmiechali się przy tym, nie zamienili jednak ani słowa. Tak działo się przez kilka następnych dni.

Przez kilka dni wymieniali się przelotnymi spojrzeniami i uśmiechami. Pewnego popołudnia podszedł do niej, gdy czytała „Romeo i Julię” i zebrał się na odwagę, aby odezwać się po raz pierwszy. Nie było to łatwe. Wcześniej krążył po całej czytelnicy, próbując wydobyć z siebie tyle siły, aby nie zamilknąć, stojąc przed nią. Nie zdążył jednak wypowiedzieć słowa, gdyż nieśmiałym, cichym głosem odezwała się, parafrazując Szekspira:

- Ktoś ty jest, co się książką osłaniając, podchodzisz moją samotność?

- Z nazwiska nie mógłbym tobie powiedzieć, kto jestem – odpowiedział, uśmiechając się przy tym.

- Jak żeś tu przyszedł, powiedz, i dlaczego? - Na skrzydłach miłości, lekko, bezpiecznie regał ten przesadziłem, bo miłość nie ma żadnych tam i granic – kontynuował, zawstydzony swoimi słowami.

- Gdyby nie książka, co mi twarz maskuje, widziałbyś na niej rozlany rumieniec.

Zakończyła parafrazę Szekspira, rzeczywiście zarumieniona, chociaż też uśmiechnięta i zaskoczona prostotą, z jaką, słowami Julii, porozumiewała się z tym przystojnym, zacytowanym obcym.

- A ileż to ma lat ta zarumieniona Julia? – zapytał, wreszcie siadając, chyba tylko po to, żeby nie uciec.

- Kobiet się o wiek nie pyta, szanowny Romeo nie słyszał? – zapytała już prawie całkiem swobodnie (co ją samą zdziwiło).

- Ach, przepraszam, jaśnie pani – ku swemu zaskoczeniu, zauważył, że jest już dość rozluźniony. – A czy ma panna jakieś imię, czy nazywać pannę Julią?

- Monika, a odpowiadając na poprzednie pytanie: mam piętnaście lat. A jaśnie młodzieniec Romeem chce być nazywany, a nie własnym imieniem? – Tym pytaniem wywołała jego śmiech, który wydał jej się wyjątkowo piękny. Tak piękny, że aż sama się uśmiechnęła.

- Imię moje Mateusz, a lat mam siedemnaście. Zaskoczony jestem, że panna Monika, jest jeszcze tak młoda, gdyż wyglądasz, pani, dojrzalej. Lat pani mogą dodawać słowa Szekspira, które rzadko padają z tak młodych ust, nawet jeśli są tak piękne. – Mówiąc to, Mateusz zarumienił się.

- Nie rumień się, chłopcze – poprosiła Monika, czym tylko powiększyła jego rumieniec.

- Zmieniając temat – próbował wybrnąć z sytuacji - dlaczego, Moniko, czytasz same „klasyki”?

- Wolę je od większości nowych powieści. Nie mam pojęcia, dlaczego. Po prostu wolę twórczość Goethego czy Szekspira, aniżeli Martina, Rowling czy nawet Zafona.

- Niko, gdzie byłaś całe moje dotychczasowe życie?! – zapytał, tylko w połowie żartując.

- Myślę, że w bibliotece – zaśmiała się. – Rozumiem, że też kochasz się w literaturze klasycznej?

- Tak, to moja jedyna kochanka.

Śmiali się już oboje, tak głośno, że zostali wyproszeni z czytelnicy. Nie wiedzieli, gdzie pójść, więc udali się do kąciku dla dzieci - niedużego dywanu, udającego miasto pełne skrzyżowań. Mały chłopiec właśnie bawił się tam samochodzikami, w kącie dziewczynka „jeździła” na koniu na biegunach, a przy kolorowym stoliku kilkoro innych dzieci z zapalem rysowało. Ich roześmiana dwójka usiadła na dywanie obok chłopczyka i gawędzili, jak gdyby znali się od dawna.

Tak spędzali dzień za dniem, leżąc, czytając i śmiejąc się. Często dzieci, bawiące się w kąciku, podchodziły do nich i zwracały się do nich „pani” i „pan”, chociaż mieli przecież tylko paręnaście lat. Śmiali się wtedy ponownie. Bawili się też z maluchami, których rodzice zniknęli w labiryncie półek i regałów. Chemia między

nimi rosła. Z czasem zaczęli trzymać się za ręce, unikając wtedy swojego wzroku, jakby robili coś złego. Z czasem stali się dla siebie najbliższymi osobami. Z czasem on zebrał w sobie odwagę i powiedział:

- Nika, wiesz, dla mnie jesteś najpiękniejsza.

Ona nie odpowiedziała. Nie mogła, gdyż zamknął jej usta delikatnym pocałunkiem, po czym zmieszany wstał i odszedł. Dopiero wtedy odzyskała mowę i wyszeptała tęsknie do drzwi, które się za nim zamknęły:

- Teusz, kocham cię.

Następnego dnia uciekła z lekcji, tylko po to, aby na niego czekać. Gdy wszedł do biblioteki, podeszła do niego i pocałowała go. Stał zaskoczony, a ona spuściła wzrok, nie mogąc spojrzeć mu w oczy. Tak stojąc i przyglądając się posadzce, ponownie wypowiedziała te znamienne słowa:

- Kocham cię, Teuszu.

Wtedy lży poleciały po jej policzku. Miała niejasne, niczym niewytłumaczone wrażenie, że ją znienawidzi, że się już do niej nie odezwie. Trwało to jednak tylko parę sekund, po których przytulił ją mocno do swej młodzieńczej piersi i wprost do jej ucha wyszeptał:

- Ja Ciebie też kocham, Nika. Jak nigdy nikogo innego.

Zamyślił się chwilę i dodał: - Będiesz moją Julią?

- Tak, Romeo. Tylko, proszę, nie umieraj. Nie umierajmy.

Ledwo wypowiedziała te słowa, wybuchła płaczem tak gwałtownym, że przez dłuższą chwilę nie mógł jej uspokoić. Gdy wreszcie jej oddech stał się mniej spazmatyczny, położyli się w kąciu dla dzieci, jak gdyby nigdy nic.

- Wiesz, zawsze marzyłam, żeby ktoś mnie zauważył. Żeby ktoś zdrabniał moje imię, żeby mnie całował i przytulał. I wtedy zjawiłeś się ty i jesteś tu, a ja nie potrafię w to uwierzyć. Czasami, gdy tak leżymy, wydaje mi się, że zaraz się obudzę i okaże się, że nie istnieje.

- Nigdy. Zawsze, zawsze, zawsze będę przy tobie i nie zostawię cię. Obiecuję, moja prywatna, najukochańsza Julio.

Zakończyli tę rozmowę pełnym namiętności pocałunkiem, już znacznie mniej niezręcznym. Już się siebie nie wstydzili. Nie bali się swoich uczuć.

Nigdy nie czuli większego szczęścia niż wtedy. I wtedy, kiedy patrząc na dzieci, wyobrażali sobie, że też kiedyś będą mieli taką piękną gromadkę. Kiedy on ją przyciągał do siebie i powoli, delikatnie całował, ku powszechnemu zniesmaczeniu

młodych towarzyszy. Kiedy kładł rękę na jej talii, kołysali się razem i zaczęli śpiewać, czym niezmiernie cieszyli dzieciaki. Byli zamknięci w sobie i tylko wzajemne towarzystwo pozwalało im się otworzyć i kochać.

Oczywiście, stali się legendą biblioteki. Każdy pracownik ich znał, wszyscy tam witali ich uśmiechem. Bo jak się nie uśmiechać pod nosem, widząc dwójkę młodych, szaleńczo zakochanym i zapatrzonych w siebie osób, których sanktuarium jest biblioteka?! Nie dość że burzyli stereotypy dotyczące młodzieży XXI wieku, to jeszcze robili to w tak piękny sposób. Mądrzy, czytani, zdarzało im się nawet czytać „Romeo i Julię” na role, w ten sposób wyznając sobie miłość (nawet jeśli robili to przede wszystkim dla śmiechu i wspomnień pierwszej rozmowy). Byli nie z tego świata, a ze świata równoległego, gdzie nie było telefonów, a ludzie byli ważniejsi od Internetu. Możliwe, że to dlatego, że oboje pochodzili z biednych rodzin i nigdy nie mieli zbyt wielu wygód, w tym najnowszego modelu iPhone’a. Jednak przyczyna nie zmieniała szacunku, jakim pracownicy biblioteki ich darzyli.

Para często siedziała w całkowitej ciszy, a czasami dyskutowała zaciekle na najróżniejsze tematy. Opowiadali sobie o sytuacji w domu, która u obojga nie była łatwa. Rodzice Teusza byli skupieni na zarabianiu pieniędzy, co zajmowało im całe dnie. Nie interesowali się swoim jedynym synem. Gdy Mateusz był młodszy, opiekowała się nim babcia. Niestety, jego opiekunka zmarła, kiedy ten miał szesnaście lat.

Monika natomiast nigdy nie poznała swojego ojca – zaginął niedługo przed jej narodzinami. To wydarzenie zburzyło mury obronne jej matki i doprowadziło do załamania nerwowego, przez co obwiniała nawet Nikę za stratę męża.

Zarówno u Mateusza, jak i u Moniki, płacz i poczucie osamotnienia były codziennością. Dlatego też tak dużo czasu spędzali w bibliotece, zaczytując się w „klasykach”. Dawało im to drugie, wspanialsze życie. W końcu dało im też siebie. Niewielu ludzi tak bardzo potrzebowało drugiej połówki jak oni. Dzięki temu mieli kogoś, komu mogli opowiedzieć o swoim dniu, kto się nimi interesował. Spośród wielu cytatów, którymi wypełniali swoje rozmowy były słowa Johna Steinbecka z książki „Myszy i ludzie”, ulubiony cytat Niki: „My mamy przyszłość. Mamy do kogo otworzyć gębę, mamy kogoś, kto się choć trochę nami przejmuje (...). Ja mam ciebie, a ty masz mnie”. Nic więc dziwnego, że nawet, gdy się nie zgadzali i sprzeczali, następnego dnia godzili się, tylko po to, żeby mieć „do kogo otworzyć gębę”.

Jednak poza biblioteką rozchodzili się każde w swoją stronę. Dlaczego? Bali się. Nie mieli tolerancyjnych rodziców, z którymi mogliby porozmawiać, którzy byliby dla nich. Nie chcieli, żeby ci wiedzieli o ich drugiej połówce. Myśleli, że będą mieli jeszcze dużo czasu, żeby przedstawić siebie nawzajem rodzicom. Myśleli...

Tego pamiętnego dnia minęły już dwa lata od ich pierwszego spotkania. Dwa lata od kiedy razem parafrazowali Szekspira. Tego pamiętnego dnia spotkali się jak zawsze i jak zazwyczaj bawili się z dziećmi. Potem usiedli i opowiadali sobie nawzajem o swoim dniu. A właściwie to nie opowiadali, bo tylko on mówił, ona siedziała cicho jak nigdy. W końcu Mateusz przerwał.

- Nika, co ci jest?

- Nic.

- Co się stało, Julio? Powiedz mi, wiesz, że mi możesz zaufać.

Naciskał, widząc, że coś jest nie tak. W końcu poruszyła się i lekko uniosła dół bluzki, odsłaniając brzuch. Był siny. Teusz gwałtownie wciągnął powietrze, a potem wybuchnął złością. Monika nigdy nie widziała go w takim stanie.

- Kto ci to zrobił?! – wrzeszczał, strasząc przy tym dzieci. – Rozwałę, rozpierdolę gnoja!

Nie wiadomo, gdzie uciekło jego piękne słownictwo i wewnętrzna delikatność.

- To nic. Teusz, spokojnie, proszę...

- Kto?!!

- Radek Nienacki z mojej klasy, bo nie chciałam iść z nim do niego – wyszeptała przerażona. – Tylko proszę, nic nie rób. Teuszu!

Tej ostatniej uwagi już nie słyszał, gdyż biegł w kierunku drzwi wejściowych. Monika popędziła za nim, krzycząc, czym wzbudziła powszechne zainteresowanie. On jednak biegł za szybko, nie była w stanie go powstrzymać. Wybiegł z budynku wprost pod koła rozpędzonego samochodu. Rozległ się raniący uszy pisk opon, trzask, a zaraz po nim głośny krzyk pełen bólu. To Nika krzyczała, gdy razem z Teuszem, umierała część jej. Jedna z bibliotekarek, pani Asia, wybiegła za młodymi, chwyciła zrozpaczoną Nikę i przytuliła ją. Ta na początku próbowała się wrywając, wybiec do ukochanego. W końcu przestała się opierać i rozplakała się w objęciach bibliotekarki. Nie wiedziała, że coś może tak boleć. W tle działy się różne rzeczy: ktoś próbował reanimacji, przyjechała policja i pogotowie, zabrano Mateusza na noszach prosto do kostnicy, stwierdzając śmierć na miejscu, a policja przesłuchiwała świadków zdarzenia, ale Monika tego nie zauważała. Trwała w objęciach pani Asi oniemiała z bólu. Policjanci chcieli porozmawiać także z Niką, ale ta nie potrafiła nic powiedzieć. Dostała leki uspokajające, które niewiele pomogły. Nie złagodziły jej bólu, gdyż nic nie było w stanie tego zrobić.

Trzy dni później odbył się pogrzeb. Nika została poinformowana o nim osobiście przez rodziców Mateusza, którym o związku młodych opowiedziała pani Asia. Monika nawet została poproszona o wygłoszenie krótkiej mowy, jako że znała

go pewnie lepiej niż ktokolwiek inny. Nie tak miała poznać jego rodziców. Nie tak to sobie planowali...

- Nie znaliśmy się długo – mówiła, szlochając nad jego grobem – ale znaliśmy się dobrze. Ba, nikt mnie nie poznał tak dobrze jak on. To przeze mnie umarł – zwróciła się do jego rodziców. – Przepraszam państwa. Miał nie umierać, chociaż był moim Romeem. Miał przy mnie zostać do końca, mieliśmy razem wychowywać dzieci. Ale on odszedł. I to wszystko przeze mnie.

Rozpłakała się na dobre i wydawałoby się, że nie powie nic więcej, ale wydusiła z siebie jeszcze jeden cytat: „Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny: są one na kształt prochu zatłonego, co, wystrzeliwszy, gaśnie”. Wtedy pogrążyła się w cichym płaczu i bólu.

Monika siedziała w czytelni, wspominając te “stare, dobre czasy”, kiedy to miała do kogo się odezwać i przytulić. Pamiętała idealnie każdą chwilę, którą z nim tu spędziła. Niesiona siłą magicznych wspomnień, podniosła się od stolika, gdzie jeszcze przed chwilą usiłowała doczytać lekturę. Podeszła do dywanu, który wyznaczał granice kąciku dla dzieci. Położyła się na włochatym skrzyżowaniu i nawet nie zauważyła, kiedy łzy naleciały do jej oczu. Słone krople moczyły jej policzki, ale ona czuła tylko jego dotyk. Ten, którego tak dawno nie czuła w rzeczywistości. Teusz istniał tylko tutaj, gdzie tak często siedzieli razem i czytali. Nie potrzebowali wiele – tylko siebie nawzajem i słów, kojących ich dusze, zawartych w sfatygowanych, starych stronicach.

- Cały czas tu jest, prawda? – zapytała pani Asia, przyglądając się płaczącej Nice.

- Tak. Jakby ta biblioteka była bramą w czasie. Jakby to było zanim...

Nie była w stanie dokończyć. Nie mogła nic powiedzieć. Tylko znowu płakała. Od kiedy on odszedł, Nika przebywała w bibliotece częściej i dłużej niż wcześniej. Pani Asia stała się jej drugą matką. Dobrą i wyrozumiałą, nie tak jak jej rodzicielka. Bywali tu też rodzice Mateusza, starając się go zrozumieć. Przypomnieli sobie o synu, o swoim jedynaku, dopiero, gdy leżał kilka metrów pod ziemią, nie mogąc już nigdy kochać. Nie mogli pogodzić się z jego stratą. Mieli niewyobrażalne poczucie winy. Wyrzucali sobie, że nigdy nie rozmawiali z synem i tak naprawdę nigdy go nie poznali. Był on jedynie ich współlokatorem, chociaż powinien być członkiem rodziny. Rodzice Teusza zdawali sobie sprawę z tego, że tylko w bibliotece mogą nawiązać z nim kontakt. Biblioteka była prawdziwym portalem, który mógł chociaż częściowo zwrócić Teusza światu żywych. Cofała ona czas, do momentu kiedy wszystko było możliwe. Kiedy on żył.

Agata Walkusz

II nagroda w kat. młodzieży

* * *

Nazywam się Aaron Asher. Mamy rok 2301. Właśnie wkroczyliśmy w XXIV wiek i wiecie co? Jest strasznie... Ludzie zapomnieli o książkach, o miłości do literatury. W szkołach przestano wymagać czytania, bo po co? Przecież teraz są maszyny, które dosłownie wszystko robią za nas. My musimy tylko umieć te maszyny programować. Spędzamy godziny przy komputerach. Lekcje opierają się tylko na surfowaniu po internecie i programowaniu w kółko tego samego urządzenia. Kiedy już ktoś przejawia chociaż załazek wyłamania się ze sztywnych norm postępowania, jego ambicja jest zduszana w zarodku. Nowe pomysły nie mają sensu – mówi rząd - obecnie mamy już wszystko czego chcieliśmy. Świat jest „idealny”... Tylko zależy dla kogo. Brak wojen? Bzdura. Narody walczą o głupoty tak jak zawsze. Brak głodu na świecie? Jest go jeszcze więcej, tak samo jak problemów z otyłością. Efekt cieplarniany? Kwestia sporna jak zawsze. Lodowce prawie nie istnieją, kilka miast zniknęło, ale rybacy się cieszą... raczej maszyny, które zastąpiły rybaków.

Może teraz wydam się banalny, ale co mi tam. Osobiście pluję na ten „idealny” świat. Jestem przeciw wszystkiemu za czym ludzie stoją murem. I, co jest najdziwniejsze, kocham książki. Spędzam godziny w jedynej bibliotece, jaką jeszcze mamy w mieście. Moi rodzice uważają, że jestem co najmniej dziwny. Przyjaciele mówią, że powinienem zmienić pasję. No dobra, ja nie mam przyjaciół, bo tak naprawdę to tylko osoby z mojej klasy, z którymi nawet nie spędzam czasu. Ale wolę nie mieć przyjaciół, niż przyjaźnić się z maszynami.

No dobra, to teraz to rzeczy. Po co właściwie spisuję ten marny splot zdań? Bo jednak, nawet w świecie, gdzie już wszystko jest odkryte, dzieje się od czasu do czasu coś niesamowitego. Przejdźmy do początku tej historii.

* * *

- Aaron! Gdzie ty znowu idziesz? - woła matka z salonu, jakby nie wiedziała, że tam gdzie codziennie.

- Ech Do biblioteki. Mam pomóc przy renowacji działu literatury starożytnej – oczywiście kłamię. Renowacji nie przeprowadza się tam już od lat. Nie ma po co,

bo tylko ja wypożyczam książki, a bibliotekarka ufa mi tak bardzo, że sam wprowadzam się do systemu. Tak naprawdę chcę uciec z tego domu przepelnionego sprzętem, który bez prądu znaczył by tyle co moje stare trampki.

- Aha! - standardowa odpowiedź, zaraz będzie „nie wracaj późno” – Nie wracaj późno!

- Dobrze - i już mnie nie ma.

Wchodząc do biblioteki zaciągam się głęboko stęchłym powietrzem. Kocham ten zapach książek, starych kartek i kurzu, który na nich osiada i nie ma go kto posprzątać. Witam panią Brygidę, która nawiasem mówiąc chyba już dawno powinna być na emeryturze. Kiedyś ją o to spytałem, a ona mi na to odpowie działa, że za bardzo kocha to miejsce, by spędzać cały dzień w swoim nowoczesnym domu. Doskonale ją rozumiem. Jest jedyną osobą, która podziela moje poglądy. Czasem się zastanawiam, czy ona nie sypia w tej bibliotece. Idę do działu z informacjami o starożytnym Egipcie. Ostatnio strasznie zaintrygował mnie ten temat. W szkole nie poruszamy już żadnych tematów dotyczących czasów przeszłych. Siadam pod jednym z regałów, chwytam grubą książkę i zaczynam czytać. Mijają kolejne sekundy, minuty godziny, a ja nie zmieniam pozycji. Nagle zaczyna się robić dziwnie ciepło. Czuję lekki wiatr we włosach. Ignoruję to i staram się skupić na zdjęciu ściany z hieroglifami, które bardzo mnie zaabsorbowało. Ale coś mi tu nie pasuje. Skąd ten wiatr? I ten upał... Bo już teraz nie było tylko ciepło. Było duszno i słońce paliło niemiłosiernie. Chwila... słońce?

Podnoszę wzrok z nad grubej książki i się rozglądam. Znajduję się pomiędzy dwoma regałami tak jak wcześniej, ale pod sobą nie mam już starej, ciemnej, drewnianej podłogi, tylko piasek. Morze piasku. Wychodzę zza regału i rozglądam się w koło. Gruba książka upada na ziemię, a ja stoję z rozdziawionymi ustami.

Piramida nie, nie jedna, dwie stop, trzy, ale ta ostatnia jest w budowie? Przyglądam się ogromnym konstrukcjom i podchodzę coraz bliżej. Jestem już tylko jakieś 500 metrów od miejsca budowy i nagle dostrzegam ludzi, bardzo wielu ludzi. Są to głównie mężczyźni ubrani w białe przepaski na biodrach. To się nie dzieje naprawdę. Nie może się dziać naprawdę. Prawda? Ale przecież to widzę, czuję jak moje stopy zapadają się w piasku, czuję wiatr we włosach i ten upał. Już teraz chcę mi się pić. Zaczynam biec i śmiać się jednocześnie. Nie patrzę gdzie biegnę, chcę być tylko bliżej tej niesamowitej konstrukcji, chcę móc ją dotknąć i uwierzyć, że to nie moja wyobraźnia.

- Uch - wpadam na jakiegoś mężczyznę, jest znacznie większy niż ja. - Bardzo pana przepraszam, powinienem patrzeć gdzie biegnę. - Mój głos wydał się dziwnie obcy.

- Nic się nie stało chłopcze. Ale lepiej uważaj, żeby straż cię nie zauważyły, możesz mieć kłopoty za uchylanie się od pracy – odpowiada. Mówi w zupełnie obcym mi języku, a jednak wszystko rozumiem. Jak to możliwe?

Uśmiecha się do mnie. Odpowiadam tym samym i szybko odchodzę w stronę najbliższej piramidy, która jest w trakcie budowy. Stoję pod ogromną konstrukcją z kamienia. Jest niesamowita. Dotykam chropowatej powierzchni i jestem pewien, że to na pewno nie sen. Oddycham głęboko. Powietrze jest suche i pełne drobin piasku i pyłu. Lekko duszące, ale tak przyjemnie rozgrzewające płuca.

- Hej! Ty tam, przy wschodniej ścianie! Nie ruszaj się! - Słyszę ostry, melodyjny głos i już wiem, że będę miał kłopoty. Pomału odwracam się do źródła, skąd pochodził melodyjny kobiecy głos. - Co ty tu robisz? - pada pytanie z wyraźnym gniewem. - Nie powinienes być tam gdzie reszta?

- Ech Trudno to wyjaśnić, ale ja nie jestem stąd. Tak jakby w ogóle nie powinno mnie tu być – jąkam się. Boże, jak moje tłumaczenia muszą źle brzmieć. Ale jak mam jej wytłumaczyć, że jestem z czasów odległych o tysiące lat.

- Hmm. W zasadzie to widać, że na pewno nie jesteś jednym z robotników. Co to za strój? Albo wiesz co, lepiej nie mów. Im mniej wiem, tym więcej będę mogła się wyprzeć jeśli mnie o coś spytają. Najlepiej od razu idź tam skąd przyszedłeś.

- Tylko ja nie wiem jak mam wrócić – uśmiecham się do niej, co wychodzi mi raczej krzywo.

- Aha. No nic, trudno. Masz - daje mi swoją bransoletkę - w razie kłopotów pokarz to, od razu cię puszcza. Nikt nie sprzeciwi się zdaniu córki faraona. A teraz idź i nie wracaj.

- Chwila. Córki kogo? - Ale jej już nie było. Schowałem błyskotkę w kieszeń i zacząłem kierować się w stronę regałów.

Czuję dziwne szarpnięcia w ręce. To boli i to bardzo. Upadam na ziemię i otwieram oczy. Mam przed sobą przestraszoną twarz pani Brygidy.

- Nareszcie. Próbuję cię obudzić od 10 minut. Już myślałam, że mój jedyny czytelnik umarł wcześniej niż ja – lekko się zaśmiała. – Chodź zrobiłam herbatę z jaśminu – wycofała się za regały.

Co to miało być? Sen? Nie. To było zbyt realne nawet na mocny sen. Zaczynam przecierać twarz. Ale co w takim wypadku. Przypomina mi się ta dziewczyna.

Sięgam do kieszeni... moja ręka zaciska się na bransolecie. Czy to prawda? Wyciągam ją, w dłoni mam drobną błyskotkę uroczej Egipcjanki. To się zdarzyło naprawdę. Niesamowite. Wstaję i szybko kieruję się do pani Brygidy, by znów jej nie niepokoić. Na razie lepiej nikomu nie mówić o tym, co mi się zdarzyło. I tak nikt mi nie uwierzy.

* * *

Siedząc wieczorem przy kolacji nie mogłem przestać myśleć o tym, co przeżyłem. To było takie niezwykle. Postanowiłem, że jutro zaraz po lekcjach pójde prosto do biblioteki i od razu zagłębię się w kolejnej lekturze. Jeśli czytałem o Egipcjach w czasach starożytnych, to oddając się lekturze o innej tematyce, to też przeniosę się w tamte miejsca? Chciałem bardzo sprawdzić swoje przypuszczenia.

- Aaron? Halo... Odezwij się w końcu! – matka wyrwała mnie z moich rozmyślań.

- Tak? Pytałaś o coś?

- Ja nie. Ale ojciec chciał wiedzieć, jak ci idzie programowanie.

- Oo Nauczyciel mówi, że dobrze sobie radzę. Jest ze mnie zadowolony - tak naprawdę ojca nie ma teraz w domu. Tak naprawdę nigdy go nie ma. Jest pochłonięty pracą programisty. Swoją „obecność” w domu uważa za rozmowy wideo przez holoprojektor z matką, kiedy ja jestem w szkole lub w bibliotece.

- To naprawdę dobre wieści - w głosie matki słychać ekscytację. - Tata mówi, że jak tylko skończysz szkołę, to możesz od razu zacząć z nim pracować. Czy to nie cudowne?

- Taa... Wiesz jakoś nie widzi mi się całe życie spędzone na programowaniu kolejnych maszyn i tym podobne. Więc możesz tacie przekazać, że nie musi mi „grzać miejsca”.

- Co to ma znaczyć? Jak nie chcesz być programistą, to kim? Naprawiaczem? – nowe pojęcie wprowadzone w 2230 roku lub coś koło tego. – A może niszczycielem? W końcu wszystko się zużywa.

- Ja tak naprawdę w ogóle nie chcę nic robić przy maszynach. Chciałbym pracować w bibliotece.

- Ooo... to zaskoczenie. To sam to przekaz ojcu, bo ja nie mam ochoty słuchać, że jego pierworodny marnuje sobie życie na jakieś książki, które i tak zostaną z czasem spalone.

Już nic na to nie odpowiadam. Ten dialog nie miał sensu już od samego początku, każda rozmowa przy kolacji wygląda tak samo. Nie wiem czemu rodzice nie chcą zrozumieć, że mnie nie kręci praca przy czymś co nas ogłupia.

- Idę do siebie. Nie będzie mnie do jutra wieczora.

Wiem, że chciała coś jeszcze powiedzieć ale szybko się ulotniłem.

* * *

Kiedy tylko zabrzmiała ostatni raz metaliczna melodia oznajmiająca koniec lekcji wybiegłem z klasy i pognałem prosto do biblioteki. Nie było sensu czekać na autobus, biegnąc byłem tam w 5 minut.

Wbiegłem zdyszany do holu wspaniałego gmachu. Widziałem, że przestraszyłem panią Brygidę. Biedna staruszka, jestem jej jedynym odwiedzającym, a jeszcze ją przyprawię o zawał. Grzecznie się przywitałem i nie zastanawiałem się długo gdzie chcę się udać. Od razu zamaszystym krokiem podszedłem do działu o historii odkryć morskich. Nie musiałem długo szukać, była na widoku. Wielka książka o odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Ciężko oddychając usiadłem na podłodze, opierając się jak zawsze o regał i przekartkowałem książkę do momentu kiedy to Kolumb zaczął zbliżać się do Ameryki, choć sam jeszcze o tym nie wiedział. Zacząłem czytać i dałem się pochłonąć. I nagle to poczułem. Lekkie kołtysanie... no, może jednak nie takie lekkie. Mocno bujało mnie w różne strony. Wstałem z drewnianej podłogi i odłożyłem książkę na miejsce. Rozejrzałem się dokładnie, by określić gdzie mogę się znajdować. Nad sobą miałem drewniany sufit. Ładowania. No jasne. Nikogo więcej tutaj nie było.

Szybko ruszyłem ku schodom prowadzącym na pokład statku. Miałem nadzieję, że znajduję się na Santa Marii i będę mógł spotkać samego Kolumba. Kiedy znalazłem się na górze pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to donośny dźwięk fal rozbijających się o burty statku i zapach soli. Statek był wielki, a dookoła krzątało się sporo ludzi. Każdy coś robił. Każdy coś krzyczał, że należy wykonać. Spojrzałem na miejsce gdzie powinien być ster. I zobaczyłem go. To na pewno był Kolumb, nie miałem żadnych wątpliwości.

- Hej, majtek! Chodź tutaj szybko! – no nie... znów mnie wzięto za kogoś innego. Ale to chyba nawet lepiej. Nie chcę zostać złapany, związany i zamknięty pod pokładem. Podbiegłem do sporego mężczyzny, który mnie wołał.

- Co trzeba zrobić? – zapytałem bez wahania.

- Trzymaj to i uważaj, jest bardzo delikatny. Zanieś kapitanowi na mostek.

Przedmiot, który dostałem to nie było nic innego jak sekstans. Przyjrzałem mu się dokładnie i byłem pełen podziwu dla tego urządzenia. Od razu pobiegłem na mostek. Nie mogłem mieć większego szczęścia.

- Kapitanie, sekstans dla pana - zawołałem będąc już na mostku.

- Jak to sekstans? Ja nie chciałem sekstansu. Co za głupcy. Nie potrzebny mi teraz. Leć powiedz temu idiocie, że miał mi podać... Chwila, a kim ty jesteś? Nie jesteś majtkiem, którego wzięłem w tę wyprawę – głośno przełknąłem ślinę.

- No, ja... eee jestem

- Mniejsza o to. No nic. Widzisz to? To Indie. Odnaleźliśmy morską drogę do Indii.

- A no. Niesamowity ład. – W ostatnim momencie powstrzymałem się, by nie poprawić samego Krzysztofa Kolumba. Ponieważ tak naprawdę byliśmy w strefie morskiej Ameryki, ale on nie mógł o tym wiedzieć.

Nagle dostrzegłem na brzegu ludzi i łodzie. Tubylcy zaczęli się do nas zbliżać zaciekawieni wielkością okrętu flagowego. Nie wierzyłem własnym oczom, byłem świadkiem odkrycia Ameryki.

- A o to i Indianie. Spuścić małe statki, 20 osób schodzi ze mną na ład. Młody jeśli masz ochotę, szybko się zbieraj, zobaczmy co tam znajdziemy.

Oczywiście, że miałem ochotę, ale wiedziałem, że jestem już tu za długo.

Zaczynało mi się robić ciemno przed oczami. W rękach nadal miałem sekstans. Podniosłem się z sykiem z podłogi. Głowa mi pękała. Chyba miałem chorobę morską. To wszystko takie niezwykle. Rozejrzałem się dookoła siebie i zauważyłem leżący przy drugim regale sekstans. Zacząłem się śmiać sam do siebie. Szybko pobierałem swoje rzeczy i skierowałem się do wyjścia. Była dopiero 17, ale nie chciałem siedzieć w tym miejscu wiedząc jaką ma cudowną moc.

Nagle przed samymi drzwiami zatrzymała mnie pani Brygida.

- Aaronie, mógłbyś podejść do mojego biura na zapleczu? – Biuro na zapleczu? Pierwszy raz o nim słyszę, no ale to pani Brygida zawsze była ciut tajemniczą kobietą. Nie myśląc za wiele poszedłem za nią do gabinetu na tyłach biblioteki.

Znalazłem się w dość dziwnym pomieszczeniu. Jego powierzchnia była znacznych rozmiarów. Ciężko było nazwać ten pokój „biurem”. Przypominał raczej graciarnie. Wszędzie było pełno starych książek, ale co najdziwniejsze, w różnych miejscach leżały antyki. I to nie były jakie, były to przedmioty z wielkich starożytnych cywilizacji, wypraw morskich i wiele innych, których nie mogłem zidentyfikować. Teraz wiedziałem na pewno. Pani Brygida spała w tej bibliotece. Na drugim końcu „biura” było zorganizowane prowizoryczne mieszkanie. W jednym kącie stało staromodne metalowe łóżko z grubym materacem. Dalej był mały aneks

kuchenny, ze stołem, przy którym stały dwa krzesła. Widać było też drzwi, za którymi na pewno znajdowała się urządzona w podobnym starym stylu łazienka. Było też oczywiście kilka szafek i duża szafa, w których, mogłem się założyć, były ubrania pani Brygidy.

- Aaronie zaczęła lekko pani Brygida – od jak dawna wchodzisz w świat książek? – kompletnie nie spodziewałem się tego pytania. Skąd ona mogła o tym wiedzieć? Przecież to był dopiero mój drugi raz.

- Ja ... - zastanawiałem się czy lepiej nie było by skłamać. - To mój drugi raz. Pani Brygido, ja nie chciałem zrobić nic złego. To samo się wydarzyło. Spokojnie czytałem i nagle się tam znalazłem, myślałem czy pani o to nie spytać, ale...

- To było zbyt nieprawdopodobne? – spytała z tajemniczym uśmiechem na ustach.

- Tak. Móc zobaczyć to wszystko z tak bliska. I to jeszcze w momencie, kiedy to się działo.

- Doskonale cię rozumiem Aaronie. Sama tego doświadczyłam. W zasadzie każdy poprzedni pracownik tej biblioteki mógł na własnej skórze tego doznać.

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem.

- Widzisz te wszystkie rzeczy, które są w tym pokoju? To właśnie moi poprzednicy i ja przynosiliśmy ze swoich podróży w świat książek.

- Ale jak to jest możliwe? Przecież takie rzeczy nie dzieją się wszędzie.

- To ta biblioteka. Wiedziałeś że powstała za czasów, kiedy ludzie jeszcze naprawdę cenili książki? – przytaknąłem. – A więc kiedy czasy się zmieniły ten budynek zrobił wszystko, by tylko pozostać nienaruszonym. Tak długo, jak ktoś chce tu pracować, tak długo z nim nic nie może się stać. Dlatego też wybiera on od setek lat kolejnych bibliotekarzy, kiedy to na poprzedników nadchodzi ich kres. Mój czas się kończy, a najwyraźniej Ty zostałeś wybrany na mojego następcę.

- Następcę? Zawsze chciałem tu pracować, ale nie sądziłem, że to biblioteka mnie zatrudni. Bardziej liczyłem na jakiś urząd, czy coś w tym stylu – próbowałem żartować.

- Życie jest pełne niespodzianek. A co do twojego „wchodzenia” w świat książek... Mam niestety smutną wiadomość. Cofnąć się możesz tylko 7 razy. Potem już nigdy ci się to nie przydarzy, więc wybieraj rozważnie. I zadbaj o pamiętki. To ty wybierasz kiedy chcesz wrócić, ale twa podróż nie może trwać dłużej niż 48 godzin.

Podziękowałem pani Brygidzie i udałem się do wyjścia. Musiałem sobie to wszystko dokładnie przemyśleć. Biblioteka, która „żyje”? Nie, to raczej złe określenie, ale nie miałem lepszego. Ten budynek... on wybierał swoich opiekunów.

Naprawdę chciałem być pracownikiem tej biblioteki, ale nigdy nie myślałem, że biblioteka chce żebym to ja się nią zajmował. Miałem mieszane uczucia. Z jednej strony bardzo mnie to cieszyło, ale co to oznaczało dla mnie? Czy miałem zostać już na zawsze w tej bibliotece?

Kiedy wróciłem do domu była już dziewiąta wieczorem. Matka będzie zła. Nie było mnie na obiedzie. Postanowiłem się jej nie pokazywać na oczy, tylko od razu udać się do swojego pokoju. Niestety mój plan został zburzony zaraz po otwarciu drzwi domu. Na korytarzu stał ojciec. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nie było go w domu od 2 lat.

- Tato... - nie byłem w stanie nic więcej powiedzieć.

- Aaron w jego głosie było słycać charakterystyczną dla niego ekscytację – świetnie, że już jesteś. Idziemy na rodzinną kolację do miasta. Cieszysz się prawda?

- Tak. Oczywiście. Ale jak to się stało, że jesteś w domu? – nadal nie wierzyłem własnym oczom. Mój ojciec, który był najbliższym mi członkiem rodziny, nareszcie do mnie wrócił.

- Wyjaśnię ci wszystko na miejscu. Matka też jeszcze o niczym nie wie. Ale jestem pewien, że będziecie zadowoleni.

- Nie wątpię... - ruszyłem do swojego pokoju, w celu przebrania się, a nie ukrycia.

Pojechaliśmy do najlepszej restauracji w mieście. Każdy, kto coś znaczył w naszej społeczności, jadał tu co najmniej raz w miesiącu. My jadalśmy tu 5 razy w roku. Ale nigdy z ojcem. To pierwszy raz od dawna kiedy gdziekolwiek z nami wyszedł. Byłem niezwykle ciekawy tych „dobrych wieści”. Kiedy już dostaliśmy nasze zamówienie ojciec długo nie zwlekał z tematu.

- A więc. Moja dobra wiadomość – zrobił krótką pauzę dla wywarcia napięcia - dostałem awans – nie wiedziałem co to oznaczało, ale nie musiałem długo czekać na wyjaśnienia. Ojciec kontynuował – najprościej mówiąc, od jutra będę w domu cały czas. Moje nowe zajęcia polegać będzie głównie na pracy w domu.

- Tato, to fantastycznie. Więc znów będziemy razem wyjeżdżać? – naprawdę się cieszyłem. Miałem odzyskać przyjaciela.

- Tak Aaronie, to się też z tym wiąże. Wiedziałem, że się ucieszysz. A jak szkoła Aaronie? Już wiesz do jakiej firmy będziesz składał aplikację? – serce mi zamarło w piersi. A więc matka nic mu nie powiedziała o moich planach... no, chyba sobie ze mnie żartujecie... i ja mam mu teraz powiedzieć, że nie podzielał jego fascynacji nowoczesną techniką?

- Tato, ja myślałem... - nie wiedziałem jak mam mu to przekazać – Nie chcę aplikować do żadnej firmy. Chciałbym... - w tym momencie matka mi przerwała.

- Twój ukochany synek uznał za stosowne, zlekceważenie naszej ciężkiej pracy włożonej w jego dobre elektroniczne wykształcenie i postanowił zostać bibliotekarzem. Chce całe dni spędzać w tym starym budynku przy placu głównym. Ktoś tam w ogóle jeszcze chodzi?

- Och. To raczej niespotykane zajęcie w tych czasach synu. Jesteś w stanie się z tego utrzymać? – to było dziwne, ojciec wydawał się... szczęśliwy?

- Tak. Wypłata nie jest niska, a do tego biblioteka ma w swoim gmachu małe mieszkanie do użytku bibliotekarza, jeśli będę go potrzebować.

- No, to dobrze, że masz konkretny plan. Bardzo mnie to cieszy. Ale będziesz w stanie czasem ze staruszką wyjechać gdzieś za miasto? Mam ochotę uwolnić się od tego wszystkiego. Co ostatnio ciekawego przeczytałeś?

Matka była chyba jeszcze bardziej zdziwiona, niż ja. Mój ojciec, albo raczej osoba, która przy nas siedziała, nie zachowywał się jak „mój” ojciec, którego pamiętałem sprzed dwóch lat. Bardziej mnie to cieszyło, niż martwiło. Miałem nowego kompana. Z tego, co rozumiałem, chciał nie tylko spędzać ze mną czas, ale i zacząć dzielić ze mną wspólne pasje. Zacząłem z nim rozmawiać o najróżniejszych książkach, które ostatnio czytałem. Wydawał się naprawdę zainteresowany tym tematem.

* * *

Mijały kolejne dni, a ja od dawna nie byłem w bibliotece, czułem się z tym naprawdę źle. Czemu przestałem tam chodzić? Nie znalazłem racjonalnego wyjaśnienia. Dlatego postanowiłem, że sobotę, zamiast na leniuchowaniu w domu, spędzę w bibliotece. Zebrałem kilka książek do oddania i ruszyłem do tak dobrze znanych mi murów.

- Dzień dobry pani Brygido – zawołałem od samych drzwi w głąb biblioteki.

- Witaj Aaronie. Zaraz do Ciebie przyjdę, muszę tylko odłożyć kilka książek - na pewno były to książki, które sama czytała, nie słyszałem by ktoś tu był w ostatnim czasie.

- Będę w dziale literatury fantasy – ruszyłem w już dawno wybranym kierunku.

Nie chciałem dzisiaj cofać się w przeszłość. Pani Brygida nic nie mówiła, że jest możliwe wejść też w książkę z fikcyjną historią. Uznałem więc, że jest to zwyczajnie nie możliwe. Nie mogłem się bardziej pomylić. Już po chwili ośwładnęło mnie

uczucie chwilowego otępienia, wiedziałem co się dzieje. Zaraz znajdę się w książce, którą właśnie czytałem. Był do „Intruz” Stephenie Meyer, jedna z moich ulubionych książek. Właśnie czytałem fragment, w którym Wanda wpadała w ręce rebeliantów. Znajdowałem się w górskich tunelach. Dokładnie wiedziałem co to za miejsce. Właśnie tak wyobrażałem sobie zawiłą konstrukcję, która powstała w litej skale przy pomocy sił natury. Przed sobą widziałem grupę eskortującą Wandę do jej celi. Postanowiłem ruszyć za nimi. Zdziwiło mnie, że nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Mijani ludzie pozdrawiali mnie skinieniem głowy. Ale najdziwniejsze było to, że trzymałem w ręce broń palną.

- Aaron - twardy głos zwrócił się bezpośrednio do mnie. Skąd on wiedział jak ja się nazywam? - jako pierwszy stoisz na warcie. Za kilka godzin przyślę twojego zmiennika.

- Ta-ak jest! - jąkałem się, nie wiedząc co jeszcze miałbym powiedzieć.

Cała reszta ruszyła długim, kamiennym korytarzem zapewne do swoich pokoi, aby odpocząć. Zostałem sam przed wejściem do prowizorycznej celi głównej bohaterki powieści.

- Hej... - odezwałem się, nie bardzo wiedząc co właściwie wyprawiałem.

Odpowiedziała mi cisza. Wanda nieznacznie zmieniła pozycję.

- Pewnie się boisz, co? Obiecuję, że nie stanie ci się krzywda. Wiem to na pewno.

- Niby skąd? Sprawialiście inne wrażenie wcześniej - cholera... znów się wpakowałem w kłopoty. Już lepiej nie będę się odzywał, to stawia mnie tylko w złym świetle. Odstałem jeszcze 2 godziny, moje mięśnie strasznie zeszywniały.

Pojawił się mój zmiennik. Szybkim krokiem oddaliłem się od celi Wagabundy. Źle się czułem wiedząc, że nie należę do tej historii i mogłem tutaj coś zmienić. Wolałem nie ryzykować ewentualnych zmian w wizji autorki.

Znalazłem ustronne miejsce i uznałem, że chcę wracać. Nie mogłem tutaj zostać. Nie byłem na to przygotowany. Mocno ścisnąłem broń i skupiłem się na powrocie. Chwilę potem siedziałem znów w bibliotece. Obok mnie leżał ten nieszczęsny karabin. No, pięknie. I co ja powiem pani Brygidzie? „A tak, jakby byłem w fikcyjnej historii i wziąłem na pamiątkę broń do kolekcji.” Raczej nie będzie z tego zadowolona.

- Dobrze, że już wróciłeś. Myślałam, że postanowiłeś tam spędzić limit 48 godzin – zaśmiała się pani Brygida.

Przysięgam, ta kobieta jest dla mnie jedną wielką zagadką, której nigdy nie miałem rozwiązać. Nie zdziwił jej nawet widok broni na stole.

- A więc już wiesz, że w fikcję literacką też możesz się „cofnąć”. Nie chciałam ci psuć niespodzianki, dlatego nic nie powiedziałam – uśmiechnęła się do mnie ukazując szereg równych zębów. – Przyniosłam ciepłą herbatę i ciasteczka. Na pewno zgłodniałeś, nie było cię kilka godzin.

Zacząłem z nią rozmawiać o wchodzeniu w świat książek. Pani Brygida wyjaśniła mi, że jest możliwe udanie się do każdej historii z książek, które należą do biblioteki. Byłem wniebowzięty tą możliwością. Jednak wiedziałem, że będę mógł udać się w tę podróż jeszcze tylko 4 razy. Podziękowałem za poczęstunek, zabrałem kilka książek do przeczytania i udałem się do domu.

* * * * *

Ta historia miała miejsce 3 lata temu. W ciągu tych trzech lat odbyłem jeszcze 4 podróże w świat książek. Dokładnie wybrałem miejsca, w które chciałem się udać. Nie żałuję niczego, co tam robiłem. Wiem, że nabyte wspomnienia nigdy mnie nie opuszczą. Pani Brygida umarła chwilę po tym, kiedy skończyłem szkołę. Kilka dni po jej pogrzebie objąłem stanowisko bibliotekarza. Teraz to ja czekam na swojego następcę i wiem, że go znajdę. Mam trzech stałych odwiedzających. Jest to bardzo pocieszające, ponieważ ze starych zapisków pani Brygidy wyczytałem, że byłem jej jedynym gościem w ciągu ostatniego roku jej życia.

Kiedy myślę o tym co mi się przytrafiło, dochodzę do wniosku, że bardzo się myliłem. Ta biblioteka „nie żyje”. Jest ona swego rodzaju bramą. W myślach, otwierając jej drzwi, nazywam ją „bramą w czasie”. Teraz to dostrzegam. Jak książki, które się tu znajdują pozwalają każdemu odbyć taką „podróż” jakiej ja doświadczyłem. Książki historyczne cofają nas do prawdziwych zdarzeń, a te fikcyjne do wizji autora, która pozwala nam wyruszyć także w przyszłość. Z nikim do tej pory nie podzieliłem się moimi przemyśleniami... jak na razie.

Odwracam głowę na dźwięk otwieranych drzwi. Staje w nich mała dziewczynka, na oko około 7 lat. Uśmiecham się do niej przyjaźnie.

- Cześć Wanessa! – to właśnie moja największa nadzieja. – Co chciałabyś dzisiaj poczytać? Niedawno znalazłem bardzo fajne książki i nawet mają obrazki.

Mała się uśmiecha i wiem, że nie może się doczekać kiedy będzie na tylko duża, aby zacząć mi pomagać w bibliotece.

Sara Bojanowska

Biblioteka jest bramą czasu

Spokój, cisza, zafrapowanie czy po prostu książki. Czyż nie z tymi właśnie określeniami kojarzymy bibliotekę? Wszystkie te spostrzeżenia są prawidłowe, jednak nieco powierzchowne. W dobie XXI wieku, gdy często chętniej, a właściwie wygodniej jest zajrzeć na forum internetowe, niż sprawdzić jakąś informację w książce, tudzież w słowniku, zamiast sięgnąć po intrygujący i zapierający dech w piersi kryminał, czy chociażby wzruszającą powieść, przeciętny człowiek wybiera serial z oczywistą fabułą. Oczywiście nie ma w tym nic złego, korzystajmy z tego, co nam postęp techniczny daje, jakich możliwości nam dostarcza, jednak nie zapominajmy o dobrach, jakie już posiadamy. W istocie tyle się słyszy o nowym modelu telefonu albo najnowszych grach, a co z książkami? Czy me są one lekko pomijane? Odnoszę wrażenie, że niewielka część moich znajomych sięga po tradycyjną formę dzieła literackiego. Uważam, że jest ogromna różnica między e-bookiem a wersją papierową. Ta druga jest o wiele bardziej klimatyczna - dotykając kartki, czując ich zapach, pochłaniam każde słowo i prawdziwie wczuвам się w opowieść. Za to właśnie tak bardzo kocham książki. No i bibliotekę oczywiście. Bo jest przede wszystkim miejsce magiczne. Wchodząc tam, można powiedzieć, że wchodzimy do istnej świątyni wiedzy; znajdziemy tam odpowiedzi na nasze pytania, lekarstwo na nudę, sposób na chwilowe oderwanie się od rzeczywistości i relaks. Tak właśnie ja postrzegam to niezwykle miejsce. Czytanie odciąga nas (w dobrym tego słowa znaczeniu) od współczesności i sprawia, że przenosimy się w inny wymiar. Czyż to nie wspaniałe?

Był piątek, kończyłam lekcje o czternastej piętnaście. Na kilka minut przed końcem zajęć obserwowałam, jak rówieśnicy pakują książki do plecaków, niektórzy notują pracę domową, a ktoś z niecierpliwością wpatruje się w zegarek, zupełnie jakby miało to sprawić, że dzwonek szybciej zadzwoni. Pelagia - koleżanka z ławki - po cichu odliczała sekundy do końca; lubię kiedy to robi. Dociera do mnie wtedy, że za moment opuszczę szkołę i będę mogła zająć się tym co kocham - czytaniem i pisanem opowiadań oraz sportem.

Tuż po upragnionym sygnale założyłam torbę na ramię i wyszłam energicznym krokiem z klasy. Jestem na tyle szczęściarą, że w chłodne i ponure jesienne dni nie

muszę wracać do domu na piechotę; przyjeżdża po mnie tata. To wspaniały człowiek. Niesamowicie rodzinny, najlepszy w opowiadaniu dowcipów oraz poprawianiu humoru. Kiedy tylko otworzyłam drzwi, usłyszałam dobiegający z samochodu niski, męski głos modnie ubranego mężczyzny, z krótkimi, ciemnymi włosami, niebieskimi oczami zasłoniętymi okularami przeciwsłonecznymi, mimo że nie były one konieczne zważając na pogodę – no, ale tak jest przecież „fajniej”.

- Cześć młoda! Wsiadaj szybko, muszę pilnie jechać do firmy - powiedział stanowczo, a zarazem niezwykle ciepło tata.

- No już, już wsiadam - odparłam z uśmiechem.

- Zosiu, wysadzę Cię koło centrum., w innym wypadku nie zdążę na to spotkanie z klientem - poinformował mnie mój stały kierowca.

- Dobrze - oznajmiłam - i tak miałam zamiar iść do biblioteki, a stamtąd będę mogła iść na trening. Oparłam głowę o szybę, kończąc wypowiedź i zrobiłam się zmęczona jeszcze bardziej niż chwilę temu.

W radiu leciał mój ulubiony kawałek. Liczyłam, że mnie pobudzi. W końcu niebawem miałam mieć zajęcia, a przed tym chciałam jeszcze chwilę poświęcić na czytanie, więc nie mogłam być śpiąca. Po kilkuminutowej przejażdżce tata zatrzymał się przy Miejskim Centrum Kultury, pożegnał się ze mną, a ja poszłam w stronę budynku. To szalenie fascynujące, że gmach ten powstał w zamierzchłej przeszłości. Zawsze przechodząc obok niego, przyglądam mu się uważnie i wyobrażam sobie przodków żyjących tu dawno, dawno temu. Przede mną znajdowała się moja ulubiona część budynku. Kierując się ku niej, witałam się z panią za biurkiem. Ta kobieta to pani Ela. Jest bibliotekarką w średnim wieku, z promiennym uśmiechem, która zna chyba każdą możliwą książkę, a gdy nie wiesz, po jaką sięgnąć zawsze chętnie pomoże i ułatwi wybór.

- Dzień dobry! - Przywitałam się.

- Witam panienkę, a co dzisiaj czytamy? - zapytała Pani Ela, poprawiając okulary na nosie.

- Zobaczę, które z tych dzieł wpadnie mi w oko. Nie wiem, na jaką lekturę mam ochotę, jednak liczę, że będzie w niej coś intrygującego.

- W takim razie udaj się do działu na końcu sali - powiedziała pani z uśmiechem, mocno mrużąc oczy.

- Zaraz, zaraz., ale na końcu sali jest dział z książkami historycznymi. Już miałam dzisiaj lekcję o przeszłości i to mi w zupełności wystarczy. Mało brakowało, a bym zasnęła. Dziękuję za radę, ale raczej nie skorzystam - odparłam z żartem, a jednak wciąż uprzejmie.

- W każdym razie miłej lektury życzę.

Wymieniłyśmy się uśmiechami i poszłam w kierunku działu młodzieżowego. Rozglądając się po pomieszczeniu można było dostrzec panującą w nim niezwykłość. Zupełnie jakby czas tu się zatrzymał. Biblioteka ta została wybudowana już w XIX wieku, wszystkie kolumny, schody, niektóre regały przetrwały do naszych czasów, nowe zaś zostały wykonane na wzór starych. Jednak moją największą uwagę przyciągały schody. Czytelnia była dwupiętrowa, a przejście na górę wiązało się ze spacerem po dawnych płytkach, nad którymi wisiały imponujące obrazy. Przypominały mi nieco wystrój jednej klatki schodowej z popularnej książki o czarodziejach.

- Cóż za krasny dzień, szkoda ino, że nowin musimy zasiać - rzeki mężczyzna.

- Ano racja. Zawždy jakaś robota jest - odpowiedziała jakaś pani.

Z niedowierzaniem przysłuchiwałam się krótkiej wymianie zdań trzymając książkę o wampirach, bardzo popularną w ostatnim czasie. Nie odkładając lektury, rozejrzałam się w kierunku, z którego dochodziły głosy. Nikogo poza niną jednak nie było w pobliżu. Poczulałam się dziwnie, ogarnęła mnie niepewność w związku z ty..., że słyszałam rozmowę ludzi, których widocznie nie było w pobliżu. Aby zając myśli czymś innym postanowiłam rozpocząć czytanie „Wampirzych Opowieści”. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. W mojej głowie pojawiło się jedno nurtujące pytanie: jak? Powieść trzymana w moich rękach to „Dawny Świat”, a na zniszczonej czasem okładce widniała para młodych ludzi. Otworzyłam ją i przeczytałam pierwsze zdanie, które brzmiało następująco:

„Dzięki tej książce czytelnik pozna życie średniowiecznych mieszczan i dowie się, jak bardzo zmieniły się ich życiowe nawyki aż do naszych czasów, czyli między XV a XIX wiekiem. Miłego czytania i pogłębiania wiedzy. Książki to świątynia wiedzy, niechaj przyszłe pokolenia o tym pamiętają”.

- Co się ze mną dzieje? Skąd mam tę książkę? - Powiedziałam i usiadłam na podłodze, zupełnie jakby te pytania mnie przygniotły.

Dzieło literackie trzymane w mojej ręce znów zmieniło swoją postać. Tym razem już mniej mnie to zdziwiło. Pomyślałam, że w tym miejscu już nic mnie nie zaskoczy, a także, że skoro już tu jestem przeczytam książkę, którą trzymam. Wstałam z podłogi i zaczęłam iść w stronę wygodnych foteli znajdujących się w dziale z dokumentami. Egzemplarz trzymany przeze mnie nie przypominał żadnej innej książki, jaką w życiu widziałam. Okładka była pełna tajemniczości. Nie widniało na niej nic poza literą „B” oraz ciemnym tłem. Czuć było, że ma już swoje lata, ale była w świetnym stanie. Nie mogłam się doczekać, aż dowiem się, co kryje

w środku, dlatego otworzyłam ją jeszcze, zanim doszłam do najwygodniejszego miejsca w pomieszczeniu. Nagle poczułam. dreszcz na piecach. Do dzisiaj nie wiem czy to moja wyobraźnia, czy po otwarciu książki poczułam czyjąś rękę na ramieniu. Pomyślałam wtedy, że na pewno już sobie wkręcłam po wcześniejszych irracjonalnych zdarzeniach. Pierwsze zdania brzmiały: *„Witaj czytelniku, jesteś szczęściarzem. wybierając tę właśnie książkę”*.

- To raczej książka wybrała mnie, a nie ja ją - zaśmiałam się.

Wtedy właśnie dotarłam do upragnionego miejsca w dziale z powieściami dokumentalnymi. Zająłam miejsce i wróciłam do czytadła. Kolejne wersy składały się z takich oto zdań: *„Nie musisz czytać jej od początku. Radzę zdać się na los i korzystać z niezwykłego potencjału książki. Używaj jej mądrze i baw się dobrze. Twoja podróż rozpocznie się jedynie, gdy uwierzysz w moc niego dzieła. Powodzenia.”*

Powodzenia? Nie sądzicie, że to dość specyficzne wyrażenie na początek książki? Byłam ogromnie ciekawa, co się kryje w kolejnych rozdziałach. Zaczęłam od przekartkowania utworu. Było to niesamowicie intrygujące przeżycie zważywszy na to, że słyszałam, każdą rozmowę opisywanego dialogu, z jednej ze stron wysypał się zagadkowy pył, a gdy przewróciłam na inną, widziałam, jak obrazki się ruszają. Pani na jednym z nich machała do mnie, jakby chciała mnie do siebie zaprosić. Ostatnie strony były śnieżnobiałe, w porównaniu do poprzednich wydawały się czystsze. Słowa widniejące na niej były dla mnie niezrozumiałe. Widziałam tę stronę jak przez mgłę. Uznałam, że książka nie chce, żebyśmy zaczęła w tym miejscu, więc otworzyłam ją mniej więcej w połowie. Ze strony wylaniała się woń ciepłego chleba. Dotykając kartki, czułam jej ciepło i widziałam, jak paruje. Zafascynowana tym doświadczeniem zaczęłam czytać.

„Dwór zamożnych zielarzy znajdował się w samym środku lasu, jednak nie był to jedyny dom w okolicy. Pośród drzew tętniło życiem małe, klimatyczne miasteczko. Zielarstwo było tam oplacalnym zajęciem, ze względu na to, że ziołami zarówno się leczyło jak i używano ich w kuchni. Nasi bohaterowie to Abelard i Aurelia, a także ich córka Pelagia - piękna, młoda, długowłosa dziewczyna, jednak bardzo roztrzepana, a zarazem niezwykle wrażliwa.”

- Pela! Zupełnie jak moja koleżanka. Ha! Zadzwoń do niej i powiem jej, że znalazłam książkę, w której opis idealnie ją odwzorowuje - głośno wyraziłam swoje myśli.

- Słucham? Co zrobisz? - dobiegał cichy, dziewczęcy głos.

Powstrzymałam się od wyjęcia telefonu i rozejrzałam się. Jedyne co widziałam

to drzewa. Serce zabiło mi szybciej, gdy usłyszałam ryk niedźwiedzia. Fakt, że nie miałam pojęcia, jak się tam znalazłam, stał się nieistotny. Przecież w pobliżu był groźny drapieżnik. Zaczęłam biec przed siebie, szukając miejsca, w którym mogłabym się schronić.

- Chyżej! - Poleciała dziewczyna o głosie, który słyszałam chwilę temu.

Biegła tuż obok mnie, nie spostrzegłam, kiedy do mnie dołączyła. Pośród drzew unosił się zapach lasu. Uwielbiałam ten naturalny obszar oddalony od miasta. To najlepsze miejsce na trening, bieg o poranku, w którym panuje spokój, zupełnie jak w mojej ulubionej bibliotece. Rozkoszując się wonią przyrody, próbowałam odgonić myśli od strachu przed przerażającym zwierzęciem. Na szczęście obie miałyśmy kondycję w nienagannym stanie, dzięki czemu zdołałyśmy zgubić niedźwiedzia po drodze.

- Nader mnie wystraszył ten niedźwiedź, jakoż był zawadiacki. Aliści niektóre osobniki są przyjazne, jakoż nie bój się - z uśmiechem uspokoiła mnie dziewczyna.

- Dobrze, jednak liczę, że więcej na niego nie trafimy - dodałam z nadzieją.

- Czujesz ten pyszny zapach? Skądś go znam...

- Naturalnie, mama zawsze o tej porze piecze swojski chleb. Takoż zapraszam!

- To bardzo miłe, z przyjemnością skorzystam z zaproszenia... - nie zdążyłam skończyć wypowiedzi, gdy nagle poczułam jak wir wciąga mnie w mistyczny tunel.

Książka wypadła mi z ręki, kiedy wylądowałam w nieznanym miejscu. Kucnęłam, aby ją podnieść, a w tym samym momencie zaczęły wypływać z niej litery układając się w spis treści. Znajdowałam się w pokoju o kulistym kształcie. Na ścianach oklejonych jakby kartkami z ogromnego zeszytu widniały teraz tytuły wszystkich rozdziałów jedynej w swoim rodzaju powieści. Zauważyłam, że w miejscu, z którego podniosłam książkę, pojawiła się litera „R”. Nie wiedziałam, co ona oznacza jednak wiedziałam, że nie pojawiła się tu przypadkowo. Czułam się zagubiona. Postanowiłam podejść bliżej tytułu „Współczesność” z nadzieją, że może w równie tajemniczy sposób jak się tam znalazłam, wrócić do teraźniejszości. Robiło mi się coraz chłodniej z każdym krokiem przybliżającym mnie do napisu. Dobrze, że miałam na sobie ciepły sweter, na który opadały moje długie, jasne włosy. Jednak zimno było coraz bardziej odczuwalne. Wiatr wiejący prosto w oczy zmusił mnie do zamknięcia powiek. Nagie usłyszałam znajomy dźwięk. Otworzyłam oczy. Rozpoznany przeze mnie odgłos to klakson samochodowy.

- Z drogi! Mało co bym Cię nie rozjechał moim futuromobilem!

- Przepraszam... Ale gdzie ja właściwie jestem? - zapytałam zagubiona.

- Zgubiłaś się? Mogę Cię podrzucić do Twojego sektora. W którym mieszkasz?

- zapytał z przejęciem nieznajomy.

- Ale ja nie mieszkam w żadnym sektorze. Ja już sama nie wiem...

- Widzę, że mamy do czynienia z trudniejszą sytuacją, niż przypuszczałem. Prześlij mi swoje dane techniczne, a ja odstawię Cię do domu - odpowiedział stanowczo mężczyzna.

Pojazd nadjeżdżający z tyłu zmusił człowieka w średnim wieku do przerwania postoju. Ruchem ręki wskazał mi, abym wsiadła do auta. Normalnie bym tego nie zrobiła, w końcu prawie go nie znałam, nie wiedziałam nawet, jak ma na imię. Znajdowałam się w innym wymiarze czasu, bez nikogo bliskiego, jedyne co miałam ze sobą to tajemniczą książkę. Stwierdziłam, że gorzej już raczej być nie może, muszę mu zaufać. Wsiadając do bardzo nowoczesnego, srebrnego pojazdu moim oczom ukazała się litera „A” widniejąca na karteczce leżącej na siedzeniu pasażera. Spojrzałam pytająco na mężczyznę, a on w tym czasie podniósł papierek i wrzucił do schowka nie odzywając się.

- Dziękuję, że usiłuje mi pan pomóc, ale nie wiem czy to ma sens. Ja nie jestem stąd - próbowałam wytłumaczyć swoją sytuację.

- Tym bardziej cieszę się, że mogę pomóc, skoro nie jesteś stąd, ciężko byłoby Ci się odnaleźć w tym mieście. Swoją drogą kogoś mi przypominasz... Nieważne. Skupmy się na tym, skąd jesteś i gdzie mam Cię odstawić.

- Który mamy rok? - Zapytałam przyglądając się widokowi zza okna.

Mężczyzna wyraźnie rozbawiony absurdalnością pytania roześmiał się, ja jednak nie zwróciłam na to uwagi, mój wzrok przykuwał świat widziany za oknem samochodu: nowoczesne środki lokomocyjne, szklane budynki, hasła reklamowe promujące najnowsze hity technologiczne i napisy „Przyszłość jest teraz”. Ku mojemu zaskoczeniu na jednej z ulic znajdowało się stoisko z gazetami, co świadczyło o tym, że ludzie wciąż wybierają papierową formę czytań. Na jednym z czasopism o ochronie przyrody widniał tytuł „Jak współcześnie dbać o środowisko?”. Zrozumiałam wtedy, że terażniejszość to pojęcie względne. Z tajemniczej książki wynika, że znajduję się we współczesności, ale to zaraz będzie przeszłość. Wszystko to co działo się chociażby pięć minut temu i zostało przez nas zakończone, już się wydarzyło i nie możemy powiedzieć, że wciąż trwa, to historia, Czy ja tkwię w przeszłości? Czy nasze całe życie to jedna wielka przeszłość? Wszystkie pytania pojawiające się w mojej głowie wydawały mi się bezsensowne i skłaniające do refleksji zarazem.

- MA.? - Głośno przeczytałam litery widniejące na zniewalająco efektownym budynku.

- Miejska Akademia. Niedawno powstała biblioteka otwarta z inicjatywy mojej ukochanej. Gdyby nie to miejsce niewielu by sięgało po książki. Wiesz jak to jest w 2030 roku, dzieci przyjmują wiedzę w tabletkach i myślą, że książki nie są im potrzebne. - Ciemnowłosa mężczyzna pokręcił głową i zaczął dalej. - Lektury to prawdziwy skarb, żadne tabletki nie mają takiej mocy. W każdym razie popularność M.A. rośnie. Oby tak dalej - optymistycznie podsumował wypowiedź.

- Biblioteka. No jasne! Ze też wcześniej na to nie wpadłam. Tam to wszystko się zaczęło. Czy możesz się zatrzymać? - Zapytałam.

- Zabawna jesteś. Gadasz, jakbyś była niespełna rozumu - roześmiał się człowiek, zatrzymując jednocześnie samochód.

- No, dziękuję bardzo - odparłam ironicznie, lecz z uśmiechem.

- Wiesz, polubiłem Cię. Weź moją wizytówkę, jakbyś potrzebowała jeszcze kiedyś pomocy - powiedział i wręczył mi karteczkę. Zauważyłam, że na ręce miał czarną bransoletkę z miniaturką książki. - Jesteś mądrą dziewczyną, korzystaj z wiedzy i rozwijaj się, edukuj. Książki to najlepszy i ogólnodostępny sposób do pogłębiania wiedzy. Pamiętaj o tym. Biblioteka to miejsce... - zaczął mężczyzna.

- Magiczne wtrąciłam - wiem. Uważam tak samo. Dziękuję bardzo i do widzenia - odpowiedziałam i wysiadłam z samochodu.

Nowo poznany człowiek jedynie uśmiechnął się i odjechał. Z wizytówki, którą dostałam, wynikało, że ma na imię Adam. Schowałam ją do kieszeni i postanowiłam wejść do imponującego miejsca zwanego Miejską Akademią. Przycisnęłam dzieło literackie do klatki piersiowej i odetchnęłam głęboko z myślą, że zaraz moja niezwykła przygoda się skończy. Przynajmniej miałam taką nadzieję. Gdy weszłam do biblioteki, moją uwagę przykuł niecodzienny wystrój oraz panujące tam zasady. Czytelnicy chodzili w kapturach, mieli możliwość zaparzenia sobie ciepłego napoju. Regały były wypełnione książkami aż po sam sufit, książki otaczały mnie z każdej strony. Na środku sali stały stoliki z krzesłami, po bokach było kilka kanap z poduszkami i kwiaty. Pachniało wspaniale. Świeży zapach kwiatów przeplatał się z wonią książek. Kolejną sprawą, która nie została pominięta przeze mnie, były plakaty głoszące ideę „Nie dla tabletek wiedzy, tak dla książek”. Czytało trzymane przeze mnie zaczęło robić się ciepło.

- Przecież książki same się nie ogrzewają. Co się dzieje? - Zadałam pytanie, którego intencja płynęła do mnie.

Otworzyłam ją na przypadkowej stronie, szukając odpowiedzi. „Mgła już przeminęła”. Przypomniałam sobie pierwszy kontakt z tym drukiem. Ostania strona była przykryta mgłą, nie byłam w stanie jej odczytać. Książka stawała się coraz to cieplejsza. Przewertowałam kartki na sam koniec, a moim oczom ukazały się słowa od autora:

„Twoja przygoda dobiega końca Książka spełniła swoje zadanie. Czy odszyfrowałaś, co próbowała Ci przekazać? Ze wskazówek przytoczonych podczas podróży podaj moją definicję biblioteki. Masz czas, dopóki książka nie nagrzej się całkowicie i nie spłonie.”

Pomyślałam wtedy: „już rozumiem, skąd to „powodzenia” na początku... Czy jeśli nie podam definicji, zostanę tu na zawsze? A może dalej będę skakać w czasie - przyjrzałam się uważnie książce na okładce widnieje „B”, później książka zostawiła ślad litery „R” w pomieszczeniu ze spisu treści.. Hmm, co jeszcze? Karteczka z „A” u Adama w samochodzie. Miejska Akademia, czyli M.A. - zapisywałam myśli na czystej stronie czytadła towarzyszącego mi w niezwyklej przygodzie - podsumowując, mamy tu: B, R, A, M, A. Brama. Biblioteka to brama...

W tym momencie podmuch wiatru dobiegający z otwartego okna przewrócił kartkę na następną stronę. Widniał tam napis „Czas ucieka.”

- Czas. Brama czasu. To by się zgadzało - powiedziałam głośno, mimo że nikt mnie nie słuchał.

Wróciłam na stronę oczekującą odpowiedzi, z trudem unikając poparzenia, tak rozgrzana już była, chwyciłam długopis, który akurat leżał nieopodal i wpisałam to, do czego chwilę wcześniej doszłam. Biblioteka bramą czasu. Chłód przeszył moje plecy. Poczułam, że znowu wciąga mnie wir, który wcześniej przeniósł mnie do zamierzchłej przeszłości. Czułam się, jakbym spadała, było to bardzo nieprzyjemne i przerażające, ponieważ mój straszliwy lęk wysokości.

Do moich uszu dobiegło wołanie:

- Młoda, nie śpimy! Wyskakuj, a ja lecę na to spotkanie - powiedział tata ciepłym głosem.

Przetarłam rozespane oczy, uśmiechnęłam się i odetchnęłam z ulgą.

- Jasne tato. Będę w domu po dziewiętnastej - odparłam i wyszłam z auta.

To był sen. To był tylko sen. Powtarzałam sobie z niedowierzaniem, wspominając wyśnioną historię. Idąc do budynku, w którym znajdowała się biblioteka, minęłam znajomą mi postać. Na pierwszy rzut oka nie byłam w stanie określić, skąd znam tego człowieka. Po chwili dostałam olśnienia, gdy zobaczyłam charakterystyczną, czarną bransoletkę na nadgarstku chłopaka.

- Adam - szepnęłam.

Chłopak zmrużył oczy, jakby próbował sobie mnie przypomnieć. Nadaremnie, widział mnie po raz pierwszy.

- Zgadza się przytaknął uprzejmie - a Ty?

- Zosia - odparłam podając dłoń chłopakowi wyraźnie uszczęśliwionemu nową znajomością.

- Właśnie szedłem do biblioteki. Czy Ty również tam zmierzasz? - zapytał, a ja z każdym słyszonym słowem wypowiedzianym przez niego dostrzegałam w nim mężczyznę z mojego snu, jednak o wiele młodszego.

- Tak, właśnie tam idę - potwierdziłam i uśmiechnęłam się promiennie, uradowana faktem poznania Adama.

Szliśmy do czytelnicy rozmawiając, wymieniając się tytułami swoich ulubionych dzieł. Minęło sporo czasu od tego wydarzenia, a moje poglądy są wciąż niezmiennie, Pomieszczenie pełne dzieł literackich to miejsce magiczne, książki to morze wiedzy, mające moc przenoszenia nas w inną rzeczywistość, dają nam możliwość podróżowania w czasie bez żadnych specjalnych wehikułów. Jak wszystkim doskonale wiadomo dom książki to biblioteka, którą śmiało można nazwać bramą w czasie.

Natalia Rekowska

Okiem Jurora

Drodzy Laureaci, Szanowni Państwo!

To już 11. edycja konkursu Powiew Weny, nad którym honorowy patronat sprawuje Prezydent Miasta Wejherowa pan Krzysztof Hildebrandt. Tegoroczny konkurs odbył się pod hasłem „*Biblioteka jest bramą w czasie*”, miał charakter otwarty i skierowany był zarówno do debiutantów, jak i dojrzałych autorów, mieszkających na terenie województwa pomorskiego.

Celem konkursu była inspiracja i popularyzacja twórców literatury, ujawnienie ich talentów, stworzenie możliwości publikacji najlepszych utworów, a także uczczenie 70. rocznicy powstania Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie. Konkurs przeprowadzony był w dwóch grupach wiekowych: pierwsza od 16 do 19 lat i druga powyżej 20 lat. Uczestnicy konkursu mogli wybrać między prozą a poezją. Tegoroczna edycja konkursu, podobnie jak w latach ubiegłych zgromadziła wiele tekstów. W sumie w konkursie wzięły udział 44 osoby (w kategorii pierwszej udział wzięło 16 osób, zaś w kategorii drugiej 28).

W kapitule konkursu jestem po raz pierwszy, ale mogę powiedzieć, że niektóre nadesłane prace odznaczały się naprawdę wysoką wartością literacką i reprezentowały różne cechy gatunkowe. Jak co roku, w ocenie prac brano pod uwagę: wyznaczniki gatunkowe utworów, sposób prowadzenia narracji, strukturę opowiadania, konstrukcję fabuły, oryginalność i umiejętność przedstawienia wybranej tematyki, warsztat językowy autora oraz atrakcyjność tekstu dla czytelnika. Szczególnie ulubionym gatunkiem literackim było w tym roku opowiadanie fantastyczne, sytuujące się na styku romansu, powieści obyczajowej i przygodowej. Temat konkursu nie był łatwy. W wielu utworach pojawił się pewien schematyzm postrzegania biblioteki, jako bramy przenoszącej czytelnika w inny wymiar rzeczywistości, dlatego jury konkursowe starało się nagrodzić utwory, w których można było zauważyć niekonwencjonalne podejście do tematu.

Nadesłane w tym roku prace nie były bezbłędne, wymagają one jeszcze prac redakcyjnych, podnoszących wartość literacką i językową utworu. Każda z nich

wyróżniała się na swój własny sposób i przemawiała do czytelnika w innej formie. Biorąc jednak pod uwagę, że były to debiuty, niektóre błędy można wybaczyć początkującym autorom.

I tak w finale konkursu w grupie wiekowej od 16 do 19 lat, gdzie obowiązywała jedna kategoria, w której można było przedstawiać utwory poetyckie i prozatorskie, pierwsze miejsce zajęło opowiadanie Agaty Walkusz „Upiór”. Utwór ten sytuuje się w kategorii romansu i kierowany jest, jakby się wydawało, do młodych czytelników, którzy mogą odnaleźć tu własne problemy. Świadczy o tym zarówno wybór bohaterów (środowiska młodzieży), jak i problematyki (ukazanie młodzieńczych relacji intymnych oraz dylematów rodzinnych). Tłem akcji utworu jest biblioteka, gdzie bohaterka Monika spotyka swoją wielką miłość. Opowiadanie ma przejrzystą fabułę i cechuje się wartką akcją.

Pozostałe dwa teksty to opowiadania fantastyczne. Mowa tu o *Purple Night* Sary Bojanowskiej oraz *Biblioteka jest bramą w czasie* Natalii Rekowski. W obu opowiadaniach, książki gromadzone w magicznym miejscu, jakim jest biblioteka, przenoszą wybranych czytelników w inną rzeczywistość. Walorem tych utworów, mimo schematyzmu, jest tematyka, poprawność językowa i stylistyczna oraz umiejętne poprowadzenie akcji opowiadania.

W grupie wiekowej B (powyżej 20 lat), w kategorii prozy w finale konkursu znalazło się, bezkonkurencyjne w zasadzie, opowiadanie *Za orzechowymi drzwiami* autorstwa Krzysztofa Szkulatowskiego. Opowiadanie, podejmujące treści społeczne, było trafną odpowiedzią na konkursowe motto. Autor w niebanalny sposób przedstawił koszmar dzieciństwa, gdzie za alkoholizm rodziców płacą ich dzieci. Mimo pewnej powszechności dotyczącej tej tematyki, tragizm opisywanej sytuacji i zdarzeń porusza czytelnika i pozostaje w pamięci. Praca jest poprawna pod względem stylistycznym, językowym i w pełni zasługuje na uznanie.

Drugie miejsce w tej kategorii zajęło opowiadanie „Zapach lawendy” Barbary Malawskiej, nagrodzone głównie za piękne opisy przyrody oraz przedstawienie pozytywnego wzoru czytelnika. Z kolei trzecie miejsce zajął utwór Stanisława Szulista zatytułowany *Odtajniony*, który zawiera wiele odniesień do aktualnych wydarzeń i współcześnie obserwowanych problemów. To opowieść o dziennikarskim śledztwie, gdzie biblioteka jawi się, jako skarbiec wiedzy, w której można weryfikować prawdę historyczną. Atutem opowiadania jest aktualność

przedstawianych zdarzeń i ich podtekst polityczny. Pod względem struktury utwór jest bardzo przejrzysty, kompozycyjnie dobrze zaplanowany i świadczy o wysokich kompetencjach pisarskich autora. Jury konkursowe postanowiło także wyróżnić dwie prace. Pierwsza z nich to słuchowisko *Ławka*, którego autorem jest Jerzy Piotr Kozerski. Walorem tej pracy jest przede wszystkim gatunek literacki oraz sposób kreowania postaci stanowiący tło dla opisywanych wydarzeń. Druga praca to opowiadanie *Jenny* autorstwa Henryka Połchowskiego. Na uwagę zasługuje w nim ciekawie skonstruowana fabuła, w której biblioteka stała się tłem dla zagadki filatelistycznej.

Poezja dotyka tak wrażliwej i subiektywnej sfery ludzkich przeżyć, że trudno wydać o niej obiektywny i uniwersalny sąd. W kategorii poezji jury konkursowe przyznało pierwsze miejsce *Tryptykowi o całopaleniu* Bogusławy Zubrzyckiej, który rozbudza wyobraźnię i wywołuje refleksję na temat nieśmiertelności ksiąg i prawd w nich zawartych. Drugie miejsce zajęły nieco kontrowersyjne wiersze Tomasza Albeckiego nagrodzone za „smartpomysł”, czyli nowoczesne rozwiązania leksykalne. Kolejna nagrodzona praca to utwory liryczne Bogumiły Mielewczyk. Poetka, inspirowana powieścią „Dom z papieru” Carlosa Maríi Domíngueza w interesujący sposób przedstawia swój „świat myśli zapisanych”, wykorzystując piękne, oryginalne i ciekawe porównania. To poezja, która ukazuje książki z oryginalnej perspektywy. Na uwagę zasługują również, wyróżnione przez jury, wiersze Edyty Wysockiej, a zwłaszcza panegiryk sławiący Miejską Biblioteką Publiczną w Wejherowie z okazji jej 70 tej rocznicy powstania.

Podsumowując można stwierdzić, że do finału zostały wybrane najbardziej wartościowe spośród nadesłanych na konkurs prac. Kapitułę konkursu niezwykle cieszy zainteresowanie konkursem i udział w nim wielu talentów literackich. „Powiew Weny” może być dumą zarówno dla organizatorów, jak i partnerów konkursu, bez których wsparcia inicjatywa ta nie mogłaby zyskać należytej jej pozycji. Doceniając ten trud i chęć promowania młodych talentów literackich w imieniu kapituły konkursu składam Państwu wyrazu podziękowania i wysokie wyrazy uznania za stworzenie i realizację tak ważnego przedsięwzięcia.

dr Jolanta Laskowska

SPIS TREŚCI

Bogdan Tokłowicz - <i>Drodzy Czytelnicy</i>	3-4
WYNIKI KONKURSU	5
Krzysztof Szkurłatowski - <i>Za orzechowymi drzwiami</i>	7-12
Barbara Malawska - <i>Zapach lawendy</i>	13-19
Stanisław Szulist - „ <i>Odtajniony</i> “	20-30
Henryk Polchowski - <i>Jenny</i>	31-42
Jerzy Piotr Kozerski - <i>Ławka</i>	43-49
Bogusława Zubrzycka - <i>Tryptyk o całopaleniu</i>	50-51
Tomasz Albecki - <i>Obrazoburczy Obraz Matki, Styl pisania</i>	52-54
Bogumiła Mielewczyk - <i>Pasja, Brama, Zaczarowany ogród</i>	55-57
Edyta Wysocka - <i>Pean Jubileuszowy, Dobra książka, Pieśń do Norwida</i>	58-62
Agata Walkusz - <i>Upiór</i>	63-68
Sara Bojanowska - * * *	69-79
Natalia Rekowska - <i>Biblioteka jest bramą czasu</i>	80-88
Jolanta Laskowska - <i>Okiem jurora</i>	89-91
SPIS TREŚCI	93

Wszystkim autorom,
którzy wzięli udział w XI edycji
Wejherowskiego Konkursu Literackiego
„Powiew Weny 2016“
z całego serca dziękuję
i życzę powodzenia
w następnych edycjach „Powiewu Weny“
oraz innych konkursach literackich

Honorowy Członek Jury
Przewodniczący Rady Miasta Wejherowa
Bogdan Tokłowicz



**Laureaci, jurorzy i organizatorzy XI Wejherowskiego Konkursu
Literackiego "Powiew Weny 2016".
Pamiątkowe zdjęcie w Miejskiej Bibliotece Publicznej
w Wejherowie - tuż po ogłoszeniu wyników konkursu
i wręczeniu nagród
w dniu 26 października 2016 roku.**



**Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie**

ISBN 978-83-940674-0-3